NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 26 listopada 1904 r. Nr. 9.

Siedm ofiar niedbalstwa przełożonych.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

8 (Ciąg dalszy).

Proces kryminalny, rozgłoszony przez dzienniki, zapowiadał niezwykłe wrażenia, mnóstwo zatem osób z najwyższego towarzystwa ubiegało się o bilety wejścia, a otrzymawszy je, zapełniły niezbyt obszerną salę, jakby w teatrze na przedstawieniu nowej, senzacyjnej sztuki firmowego autora.

Wśród ścisku, w najciemniejszym kątku sali, ukryła się kobieta czarno ubrana, z gęstą zasłoną na twarzy. Do niej przytuliły się dwie milczące, śliczne dziewczynki, w starych, znoszonych sukienkach.

To Klara z córkami.

Na wiadomość o strasznem nieszczęściu, którego zbyt długo nie można było przed nią ukrywać stan jej zdrowia pogorszył się nagle. Otaczające ją osoby mniemały, że umrze lada chwilę. Lecz ona, w gorącej modlitwie wytężyła siły ducha i dziwnie pokrzepiona już na drugi dzień powstała z łóżka, aby z anielskim jakimś spokojem spełniać obowiązki matki, otaczającej dziatki swoje serdeczną pieczą i troskliwemi staraniami. Gdy wyczytała w „Kuryerze“, że mąż stanie przed sądem, postanowiła udać się na rozprawę, aby po raz ostatni go zobaczyć, bo i ona nie łudziła się nadzieją; nie wierzyła w uniewinnienie Marcina. Nie wiedząc o niczem, czuła jednak, że Żarski jest zgubiony, że go czeka potępienie. Nie pomogły łzy wezwanej przez sąd na jednego ze świadków babki, która błagała synowę, aby pozostała w mieszkaniu. Klara odparła stanowczo: „Muszę go widzieć“, a potem pomimo wielu trudności wystarała się o trzy bilety dla siebie i dziewczątek.

Milcząca i strasznie blada stanęła — jak powiedzieliśmy wyżej — w najciemniejszym kącie sali, z którego jednak mogła widzieć oskarżonego. Dla Janka niepodobna było uzyskać biletu, lecz malec z niezwykłą zręcznością wkręcił się niepostrzeżony wraz z tłumem i po chwili znalazł się tuż koło Sabinki i Zosi.

Dwaj żandarmi wprowadzili powoli postępującego Marcina.

Klara na widok męża zachwiała się drżąca, jakby ziemia z pod jej stóp się usuwała, jakby jakiś olbrzymi kamień przygniótł nagle jej schorzałe piersi i wątłe barki.

— O, moje małe! — szepnęła, wskazując Żarskiego dzieciom — tam... widzicie, na ławie oskarżonych zasiadł wasz zacny ojciec, najszlachetniejszy z ludzi. Patrzcie na niego, bo jestem pewną, że przeczuwa naszą obecność, a wzrok jego skrzyżuje się wkrótce z naszym wzrokiem.

W istocie, Marcin spojrzał niespodzianie w tę stronę, dostrzegł swoich i w oczach jego zabłysła, jak błyskawica migająca iskra radości.

Pomimo, że suchotnica mówiła cicho, parę osób bliżej stojących, dosłyszało jej słowa.

— Ach, biedni ludzie! — szepnęła ze współczuciem w głosie jakaś młoda kobieta do swojej sąsiadki — to rodzina tego nieszczęśliwego doktora.

— Sąd idzie! — zawołał woźny donośnie.

Szmer ucichł. Falujące głowy zgromadzenia zwróciły się w głąb komnaty, skąd członkowie trybunału, z prezesem na czele, wychodzili kolejno, a zbliżając się ku kratkom, zajmowali miejsca na poręczowych, wysokich krzesłach, stojących za stołem, przykrytym zielonym suknem.

Rozprawa rozpoczęła się przedwstępną krótką indagacyą oskarżonego, który na wiele pytań, zadawanych mu przez przewodniczącego, nie chciał odpowiadać wcale. Matka jego nie złożyła żadnych wyjaśnień co do listu, pisanego przez nią do hrabiego Jelskiego. Inni świadkowie zeznawali, jak w śledztwie, zwalając cały ciężar winy na młodego lekarza. On, upadły na duchu, zgnębiony fizycznie i moralnie, zwiesił głowę na piersi i milczał.

Zabrał głos prokurator.

Bardzo zręcznie ujął treść znanej zbrodni, analizując ją i dyssekując jasno, ściśle, surowo i logicznie. Siła jego argumentacyi była tak dosadną, i jaskrawą, że jeszcze nie skończył swego przemówienia, a już zapełniająca salę publiczność potępiła obwinionego bezwzględnie.

Adwokat, przez sąd wyznaczony, bronił Żarskiego z pozorną energią i zapałem, lecz bez przekonania i wiary we własne słowa. Raz tylko, w ciągu dość długiej obrony, wspominając o nieszczęśliwej rodzinie podsądnego, wzruszył słuchaczów na sali, a może poniekąd i sędziów samych, lecz nie zachwiał opinii, jaką sobie poprzednio o przestępcy wyrobili, i nie obudził dla niego życzliwości.

Gdy skończył zapanowało znowu w komnacie grobowe milczenie.

Poczem przewodniczący, spełniając zwykłą formalność, zapytał Żarskiego, czy nie chciałby czego dodać na swoją obronę. Marcin, podniósł się z ławy i zwracając się twarzą ku żonie i córkom, chwilę stał milczący.

Prezes powtórzył pytanie.

Była to ostatnia deska ratunku, podana młodemu człowiekowi przez litość. Odepchnął ją z pogardą. Jakkolwiek widział przed sobą otwierającą się przepaść groźnej przyszłości, wolał rzucić się w nią na zawsze, niż wyjawić bolesną tajemnicę swego urodzenia i zhańbić ukochaną matkę, która mu poświęciła całe swe istnienie. Duma zawładnęła całą jego jaźnią; szlachetna duma nędzarza, nieocenionego należycie przez społeczeństwo.

Nie odpowiedział na pytanie przewodniczącego, lecz opanowany wzruszeniem, szarpiącem mu łono, spojrzał na swoich najdroższych. Zdławiony jakiś krzyk wyrwał mu się z gardła, spalonego kilkodniową gorączką.

— Przyszłyście!... przyszłyście!... Żegnam was na zawsze!

— Uspokój się pan — rzekł prezes sądu łagodnie — i staraj się bronić. Masz jeszcze czas potemu. Proszę mówić.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia, prócz tego, co już powtarzałem nieraz. Jestem obwiniony o zbrodnię, której nie popełniłem. Jeśli całe moje życie uczciwe i pracowite nie zaważy na szalach sprawiedliwości, jakie panowie trzymacie w dłoniach, możecie mnie skazać. Jakkolwiek mnie osądzicie, z poddaniem się wyrok przyjmę, lecz w tej chwili ostatecznej, tu, wobec mojej matki, żony i dzieci... wobec tych, których kocham, a którym cześć moja jest drogą... przysięgam, że jestem niewinny!

Oświadczenie to, wypowiedziane dźwięcznym, chociaż drżącym głosem, wywarło silne wrażenie na publiczności. W zgromadzeniu zapanowało rodzaj zamieszania i szmeru. Sprzeczne przekonania i wnioski o sprawie zaczęto wyrażać głośno, tak, że prezes sądu uznał za stosowne przywołać tłum do porządku, grożąc przymusowem opróżnieniem sali.

Następnie trybunał oddalił się na naradę, która nie trwała długo. Wyrok, oparty na motywach stwierdzonej winy, dopuszczającej łagodzące okoliczności, ogłoszony z za prezydyalnego stołu w pół godziny potem, skazywał Dra Marcina Żarskiego na dziesięcioletnie ciężkie roboty w kopalniach, a następnie na osiedlenie na Syberyi.

Klara jękła i bezwładna padła w ramiona ślepej. Tłum zaś, chociaż pozostawał widocznie pod przykrem wrażeniem, rozpływał się powoli, nie zwracając uwagi na nieszczęśliwą rodzinę. Dziewczątka i Janek, z trudem docuciwszy się zemdlonej, wyprowadzili i matkę i babkę. Na dole, przy ostatnich stopniach schodów, stała młoda dama, wykwintnie ubrana w żałobną toaletę. Była to hrabina Jelska.

Wezwana także przed godziną na świadka, złożyła zwięzłe, jasne i stanowcze zeznanie, poczem wyszła zaraz z sali, żeby nie patrzyć na młodego lekarza, którego oczy wyrażały rozpacz bez granic.

Klara, mijając Marcelinę, potrąciła ją mimowoli i bezwiednie. Hrabina drgnęła przerażona. Widok dwóch kobiet i dwóch dziewczynek, pogrążonych w bezmiernym smutku i wydanych na pastwę srogiego losu, przejął ją, nie żalem, lecz rozdrażnieniem i lękiem. Zasłoniła prześliczne lica gęstą woalką i cofnęła się nieco.

Wtem zabłysła przed nią w świetle lampy gazowej blada, mizerna twarzyczka chłopca, podtrzymującego stąpającą powoli staruszkę. Boleść, malująca się na niej, zastanowiła ją i wzruszyła. Długo jeszcze, już po wyjściu całej gromadki na ulicę, nie zdając sobie sprawy dlaczego, ścigała Janka wzrokiem, mówiąc do siebie w duchu:

— Dziwne wrażenie! To dziecko... to dziecko!.. Tak mnie w gardle coś ścisnęło, jakbym rozpłakać się miała.

Lecz rozwaga i zimna krew wzięły wnet górę w jej pozytywnym umyśle nad jakiemiś dziwnemi i niezrozumiałemi wrażeniami. Po chwili, uspokojona, chociaż zła i nadąsana, przechadzać się zaczęła po ślizkim chodniku, zroszony nagle drobnym deszczem.

Siódma biła, gdy zjawił się przed nią Kazimierz Molski.

— Nareszcie! — rzekła Marcelina, podając mu rękę. — Czekam tak długo!

— Ojciec mnie zatrzymał... nie mogłem się uwolnić...

— A wyrok?

— Skazany na dziesięć lat ciężkich robót w kopalniach, a potem na osiedlenie.

— Może jednak apelować?

— Ani myśli!... To rzecz skończona zupełnie.

— Ach! westchnęła głęboko. — Ciężki kamień spada mi z piersi. Dotąd nie mogłam oprzeć się ścigającej mnie ciągle obawie. Dławiła mnie... pozbawiała snu i spokoju. Gdyby to trwało jeszcze dni kilka, rozchorowałabym się niezawodnie i umarła.

— Powtarzam: rzecz skończona... skończona! — mówił Molski ponurym głosem. — O tem, co minęło, myśleć nie potrzeba... bo inaczej przyszłoby tobie i mnie rozstać się z życiem.

— A cóż Piperstein?

— Ten żyd okropny?

— Tak.

— Ojciec zmył mu dziś głowę porządnie. Pewny jestem, że mnie już dłużej prześladować nie będzie swoją „prawie pewnością“. Ach, com ja wycierpiał, słuchając go codziennie! Wolałbym spotkać się z dyabłem, niż z tym człowiekiem. Ale raz nareszcie przestańmy myśleć o tem wszystkiem!

Nadjeżdżała próżna dorożka.

Kazimierz dał znak laską. Wehikuł się zatrzymał. Kazimierz wsadził do niego Marcelinę, i sam przy niej zajął miejsce.

— Gdzie jaśnie pan rozkaże?

— W Aleje.

— Po kawalersku — zawołał woźnica, spoglądają z uśmiechem na młodą parę.

Zaciął konie i popędził przed siebie jak strzała.

X.

Dopiero o godzinie dziewiątej wieczorem wrócił Piotr Molski z sądu do domu. Eugenia z niecierpliwością oczekiwała na ojca.

— I cóż? — zapytała, zaledwie wszedł do sieni.

— Skazany... Rzecz była do przewidzenia!

— A jednak skazano niewinnego — rzekła głęboko wzruszona, i nie dodając nic więcej do słów z gorycza wymówionych, wbiegła do swego pokoju

Nigdy może żaden wyrok, na mocy śledczych badań uczciwego i ludzkiego sędziego wydany, nie przejął go tak silnym niepokojem wewnętrznym, jak dzisiejszy. Pomimo faktów i dowodów, potępiających Żarskiego, pomimo przekonania o jego winie, czuł przecież, że nie wolno mu zgromić córki za po raz pierwszy w życiu okazaną ojcu niechęć i brak uszanowania.

Wieczerzę podano Molskiemu w gabinecie do pracy. Nie tknął żadnej potrawy, kontentując się filiżanką herbaty. Był wzburzony, zmęczony, senny, dziwnie niespokojny i smutny.

. . . .

Dorożka, wioząca „po kawalersku“ Marcelinę i Kazimierza, zatrzymała się przed pałacem Jelskich.

Hrabina, niemal przemocą wciągnęła młodzieńca do swego buduaru — jak wiadomo — przytykającego do pracowni nieboszczyka. To bliskie sąsiedztwo obudziło w głowach obojga straszne wspomnienia. Pod ich wpływem, długo... długo... nie śmieli do siebie przemówić i słowa. Milcząc, przechadzali się wzdłuż i wszerz pokoju, po rozesłanym na posadzce puszystym kobiercu, głuszącym odgłos ich kroków.

Nareszcie Marcelina przemówiła pierwsza:

— Jesteśmy sami... zupełnie sami, Część służby już śpi w suterenach. część zaś za dnia wyprawiłam z różnemi poleceniami za miasto. Skorzystajmy z tego. Przeszukajmy kryjówkę mnie tylko i zamor... to jest zmarłemu znaną. Jest to szafa w murze, do której klucz posiadam. Sfałdowane obicie z chińskiej materyi tak szczelnie ją osłania, że sądownikom nie przyszło na myśl położyć na niej pieczęci. Jestem pewną, że tam być musi jakiś papier, który mi wskaże, gdzie syn mój się znajduje... a może przy nim znajdę także fortunę, którą posiąść pragnę i która mi się należy.

— Wszakże wiesz, że sukcesorowie posag twój oddać ci muszą...

Ona wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Posag, przyznany mi w intercyzie ślubnej przez Jelskiego, wynosi zaledwie sto tysięcy rubli!

— To przecież znaczny majątek!

— Och — szepnęła, zaciskając zęby — nędza! Pięć tysięcy rubli rocznego dochodu! Co jabym z nimi robiła? Nie wystarczyłyby mi nawet na toalety!

— Opuśćmy miasto — rzekł Kazimierz miękkim głosem — udamy się do cichego jakiego zakątka... choćby do Galicyi, w góry. Oboje potrzebujemy odsunięcia się od ludzi... od znajomych i krewnych. Ja przynajmniej nie mógłbym znieść dłużej istnienia, jakie tu teraz prowadzę.

— Uciec z Warszawy? obecnie?... Ależ ucieczką naszą wywołalibyśmy i stwierdzili wszystkie podejrzenia!

— Po wyroku sądowym, wydanym na Żarskiego, podejrzenia dotknąć nas nie mogą. Jesteśmy ocaleni... raz na zawsze bezpieczni!

— O, mój drogi, musisz jeszcze czas jakiś mieć odwagę i być cierpliwym!

Urocza i śliczna, objęła go w pół ciepłem ramieniem i szepnęła mu do ucha:

— Chodźmy!

On uległ znowu czarowi, jaki roztacza. Idzie z nią, owładnięty miłością i podbity jej demonicznym wpływem.

Zegary wydzwoniły północ. Cisza panuje w całym pałacu.

Wsparci jedno na drugiem, złączeni namiętnością i ramionami, wchodzą do gabinetu hrabiego. Marcelina wysuwa się zręcznie z gorących objęć młodzieńca i biegnie do kominka, aby zapalić świece w dwóch wspaniałych, bronzowych, pięcioramiennych świecznikach, stojących na marmurowym gzymsie, wspartym na artystycznie rzeźbionych karyatydach, tworzących obramienie paleniska. Poczem badawczym wzrokiem spogląda na okna. Zasłaniają je okiennice i grube, jedwabne, chińskie, suto marszczone firanki. Uśmiecha się zadowolona. Szczelnie zamknięte deski okiennic i gęste opony firanek nie pozwolą nikomu zajrzeć z ulicy do pokoju. Czuje się zupełnie bezpieczną.

— Dokąd mnie prowadzisz? — zapytał Kazimierz, nie zdający sobie w pierwszej chwili sprawy, gdzie się znajduje.

— Czekaj! Zobaczysz!

Ujęła go znowu pod ramię. Stanęli przed pustą ścianą, między dwoma olbrzymiemi szafami z pysznie oprawionemi książkami.

Marcelina przesunęła swoją śliczną rączką po materyi obicia, sfałdowanej w zgrabnie upięte plisy i nacisnęła ukryty pod jedną z nich guziczek. Ściana rozsunęła się na lewo i prawo, odkrywając ogromną ogniotrwałą kasę w mur wpuszczoną.

— Widzisz! — rzekła. — O istnieniu tej kryjówki wiedzieliśmy tylko nieboszczyk i ja. Tu on zamykał znaczną część swego ruchomego majątku w precyozach i kapitałach... Majątek ten zabraliby mi bezwątpienia jego prawni spadkobiercy, gdyby wiedzieli, że istnieje. Tu także mam nadzieję znaleźć coś, co mi wskaże miejsce pobytu mego dziecka...



...Dziwne wrażenie! To dziecko, to dziecko!..

— Więc ośmieliłabyś się pogwałcić zagrobową tajemnicę zmarłego? szepnął Kazimierz przerażony.

— Chcę i muszę wiedzieć, co się stało z moim synem? Czy sądzisz może, że nie mam do tego prawa?

— Ależ znajdziesz tu tylko pieniądze.., i co najwyżej testament hrabiego! Przecież nie ulega wątpliwości, że Jelski nie złożył papierów, odnoszących się do twego dziecka, w znanej kryjówce. Nie, nie! nie masz potrzeby, ani prawa otwierać kasy. Wierz mi, że mówię rozsądnie. Wyjdźmy stąd... uciekajmy z tego przeklętego domu. Pojedziemy na Senatorską; tam spokojnie... daleko od murów, budzących okropne wspomnienia! Nie chcę być wspólnikiem kradzieży. Cokolwiek stąd weźmiesz, będzie to rzecz skradziona. Tak, tak, skradziona!... Chodź, Marcelo moja! chodź czemprędzej!

Chwycił ją za ramię, lecz ona go odepchnęła.

— Jesteś tchórzem! Boisz się, drżysz... — rzekła, zaciskając zęby gniewnie i patrząc na niego przeszywającym, zimnym wzrokiem.

— Błagam cię!... Zaklinam na co masz najświętszego!...

Chciał objąć jej wiotką kibić, lecz ona gwałtownem i nagłem poruszeniem z rąk mu się wyrwała. — Potem zbliżyła się do kasy nacisnęła sprężynę, a gdy ta z trzaskiem odskakując odsłoniła zamek, wsunęła w wązką jego szparę wyjęty z kieszeni cienki i płaski kluczyk. którym zakręciła w szparze raz, drugi i trzeci w znany sobie widocznie sposób. Ciężkie, żelazne drzwiczki wnet się rozwarły, a za niemi ukazało się oczom Kazimierza i Marceliny głębokie, metaliczne wnętrze, połyskujące od padającego na nie światła z kandelabrów.

— Patrz! — zawołała młoda kobieta radośnie — patrz!... Rulony złota, banknoty w opaskach, papiery wartościowe, starannie owinięte... perły, dyamenty!... Wszystko to do nas należy!... Nikt nie zna tej skrytki, prócz ciebie i mnie, ja zaś zamknę ją wkrótce raz na zawsze. Milion tu być musi... a może parę milionów!... Nasze!... nasze!...

O, nawet nie przypuszczałam, że nędznik był tak bogaty!... Znałam kryjówkę, nie znając jej zawartości!

— Boże! Boże! czuję, że omdleję! — mówił po cichu Kazimierz, a dreszcz wstrząsał całem jego ciałem. — Nic z tego nie ruszaj!... Wyjdźmy ztąd, choćby tylko do twego buduaru...

Lecz Marcelina go nie słucha i nie odpowiada. Obie rączki wsunęła w kasę, a palce jej chwytają naprzemian to paczkę banknotów, to garść złota, to cenny jakiś klejnot starożytny. Oczy jej promienieją blaskiem radości.

— Nie pytasz mnie — mówi — jakim sposobem dostał się kluczyk w moje posiadanie? O, najprostszym! Znalazłam go tam... tam... widzisz! w tej szafce chińskiej. Przed laty już wiedziałam o istnieniu kryjówki. Mąż mi ją pokazywał, lecz pustą; domyślałam się jednak oddawna, że tu chować musi znaczną część swego majątku. Więc pojmujesz, jak gorliwie kluczyka szukałam; dopiero wczoraj go znalazłam... i nie bez trudności, bo żeby do wnętrza szafki się dostać, trzeba znać także sekret otworzenia jej drzwiczek. Sprytna jestem, nieprawdaż? No! co myślisz o moim sprycie?

— Ach, milcz na miłość boską! Ktoś cię może usłyszeć.

— Wszyscy śpią w pałacu a i Warszawa cała śpi w najlepsze. — Zbliżyła się do okna, rozsunęła nieco firanki i uchyliła okiennice. — Patrz!... puste chodniki, deszcz pada, a wiatr siecze w szyby drobnemi, gęstemi kroplami. Ani jednej gwiazdeczki na niebie. Śliczna noc... dla takich, jak my, którzy nie chcą żeby ich widziano...

Zamknęła okiennice i ściągnęła w fałdy firankę. Poczem przystąpiła znowu do kasy, aby zanurzyć w niej chciwe dłonie. Nagle krzyknęła.

— Co tobie? — zapytał z niepokojem Kazimierz.

— Patrz!

Wzniosła nad głową wielki i gruby pugilares. Młody człowiek cofnął się przerażony.

— O, nie, nie... nie dotykaj! To tajemnica zmarłego. Marcelo moja ukochana na klęczkach cię błagam, nie dotykaj... nie zaglądaj do pugilaresu. Naruszenie tajemnicy nieboszczyka nieszczęście przynosi.

— Przesąd!

— Nie, nie...

— Oszalałeś, czy co?

— Proszę cię!

— Pozostaw mnie w spokoju!

Usiadła przy małym stoliczku z japońskiego laku, otworzyła pugilares i wysypała całą jego zawartość. Były to przeważnie papiery bez znaczenia, jakieś stare, dawno uiszczone rachunki dostawców — lecz nagle palce jej dotknęły koperty, zapieczętowanej czarnym lakiem, na której wyczytała następujące wyrazy:

„Testament. Otworzyć go dopiero w dwa tygodnie po mojej śmierci.“

C. d. n.

Od Redakcyi.

Z następnym numerem rozpoczynamy druk nowej oryginalnej a nader zajmującej powieści, osnutej na tle wyborczych stosunków w Galicyi, którą specyalnie dla naszego tygodnika napisał jeden ze znanych pisarzy, p. Grzegorz Smolski.

Powieść ta nosząca tytuł:

„Lueger w Kołomyi"

okraszona ciętą satyrą i sarkazmem obficie zaprawionym w szczery, jowialny staropolski humor, a illustrowana przez zaszczytnie znanego karykaturzystę artystę-malarza Józefa Kruszewskiego wzbudzi zapewne niemałe zainteresowanie wśród naszych P. T. Czytelników.

Siedm ofiar niedbalstwa przełożonych.

Do illustracyi tytułowej.

Lekceważenie i nieprzestrzeganie przepisów bezpieczeństwa w wielkich zakładach przemysłowych było już nieraz przyczyną strasznych wypadków, które pociągały za sobą ofiary w mieniu i życiu ludzkiem.

Karygodne uchybienia odnośnej ustawy mszczą się potem srogo na sprawcach, co jednak smutniejsze, że i niewinni przypłacają zdrowiem i życiem — własną nieświadomość lub lekkomyślność swych przełożonych.

A jednak jakże łatwo nieraz — uniknąć lub w najgorszym razie ograniczyć rozmiary klęski, przy odrobinie dobrej woli, przy należycie wyrobionem poczuciu obowiązku i sumienności!...

Wstrząsającym przykładem a zarazem surową przestrogą na przyszłość — jest świeżo wydarzona katastrofa w gorzelni „Sommerstein" w Słobódce Strussowskiej pod Trembowlą. Katastrofa ta na miejscu pozbawiła życia czterech ludzi — trzech zaś popchnęła nad brzeg grobu; nieszczęśliwi walczą ze śmiercią w szpitalu.

Katastrofę w Sommersteine spowodowało bezpośrednio pęknięcie kotła. Wypadki takie są niestety — dość częste i przyczyna ich nie zawsze nawet da się skonstatować; co więcej, zażegnanie klęski z góry — leży niekiedy zupełnie po za obrębem ludzkiej możliwości.

Ustawa przewidziała i tą ewentualność i wydała cały szereg przepisów mających na celu zmniejszenie rozmiarów nieszczęścia, w pierwszym zaś rzędzie ochronę życia ludzkiego.

Niestety! przepisy te były w karygodny sposób, lekceważone w Sommersteine!

Było to nocą — gdy większa część personalu urzędniczego i oficyalistów pogrążona była we śnie.

Nagle rozległ się przerażający huk. — Na odgłos ten przybiegł zarządca gorzelni ze swoimi pomocnikami.

Oczom jego przedstawił się widok, na opis którego wzdryga się najśmielsze pióro.

Cała przestrzeń zapełnioną była gęstą gryzącą parą, tak, że dopiero po jakimś czasie poznano właściwy stan rzeczy.

Na środku leżała zgnieciona i połamana masa żelastwa pochodząca z pękniętego i wysadzonego kotła. Dokoła niej rozlana wrząca braha, czyli odwar kartoflany, z której wyzierała strasznie oszpecona głowa robotnika, a opodal poszarpane zwłoki drugiego. W kącie po prawej widniały martwe ciała trzech innych nieszczęśliwych; na kotle zaś, ze śladami strasznego poparzenia, leżała ostatnia ofiara wypadku.

Poparzenia były tak straszne, że ciała prawie rozgotowane odpadały formalnie od kości. Skonstatowano, że na miejscu ponieśli śmierć: Jan Polak żonaty, ojciec 4 dzieci, Piotr Demków również żonaty i dzietny, dalej Józef Dąbrowski i Franciszek Komorowski. Śmiertelnie ranni i poparzeni są Jan Ciesielski, Dmytro Kulisz i Jan Sop.

Być może, że w chwili, gdy to piszemy i ci nieszczęśliwi rozstali się już z życiem w szpitalu.

Przyczyną katastrofy, jak to wspomnieliśmy — było pęknięcie kotła. O ile odpowiedzialny technik i maszynista zawinili w tym wypadku, wszczęte obecnie śledztwo wykaże.

Stokroć jednak większą winę ponoszą ci, którzy mieli przestrzegać porządku i przepisów w gorzelni.

Jednym z owych kardynalnych przepisów jest wyraźny zakaz, że spać na kotle lub w jego pobliżu nie wolno. Pokazało się zaś, że w krytyczną ową noc robotnicy gorzelniani urządzili sobie legowiska na kotle i dokoła niego.

Wątpliwości najmniejszej nie ulega tedy, że ów brak dozoru i poszanowania przepisów bezpieczeństwa — ze strony odpowiedzialnych funkcyonaryuszy rozszerzył katastrofę do potwornych rozmiarów, pociągnął bowiem ofiarę w życiu siedmiu ludzi, co oczywiście nie nastąpiłoby, gdyby robotnicy nie nocowali w izbie palenisk i kotła.

Surowe, przykładne ukaranie winowajców — nie powróci zaiste życia nieszczęśliwym — niechże będzie jednak bodaj przestrogą na przyszłość dla tych, których opiece i sumienności bezpieczeństwo ojców najuboższych rodzin poruczono!...



Nowy regimentarz: Wojciech hr. Dzieduszycki nowy prezes Koła polskiego.

Nowy Regimentarz.

Jedną z największych, jeżeli nie najsilniejszych organizacyj parlamentarnych w Austryi — jest bez kwestyi Koło polskie, liczące w pełnym swym składzie kilkudziesięciu członków. Ze stronnictwem liczebnie tak potężnem, a przytem i solidarnem, liczyć się musi rząd i inne frakcye w łonie parlamentu, które chetnie szukają sojuszu z „Kołem".

Łatwo więc sobie wyobrazić, że każdorazowy prezes „Koła", jest sam przez się już figurą wybitną, o której względy i łaski ubiegają się nietylko przywódcy pojedynczych partyj i stronnictw parlamentarnych, ale nawet i ministrowie szukają skwapliwie jego „przyjaźni politycznej" — rady i pomocy.

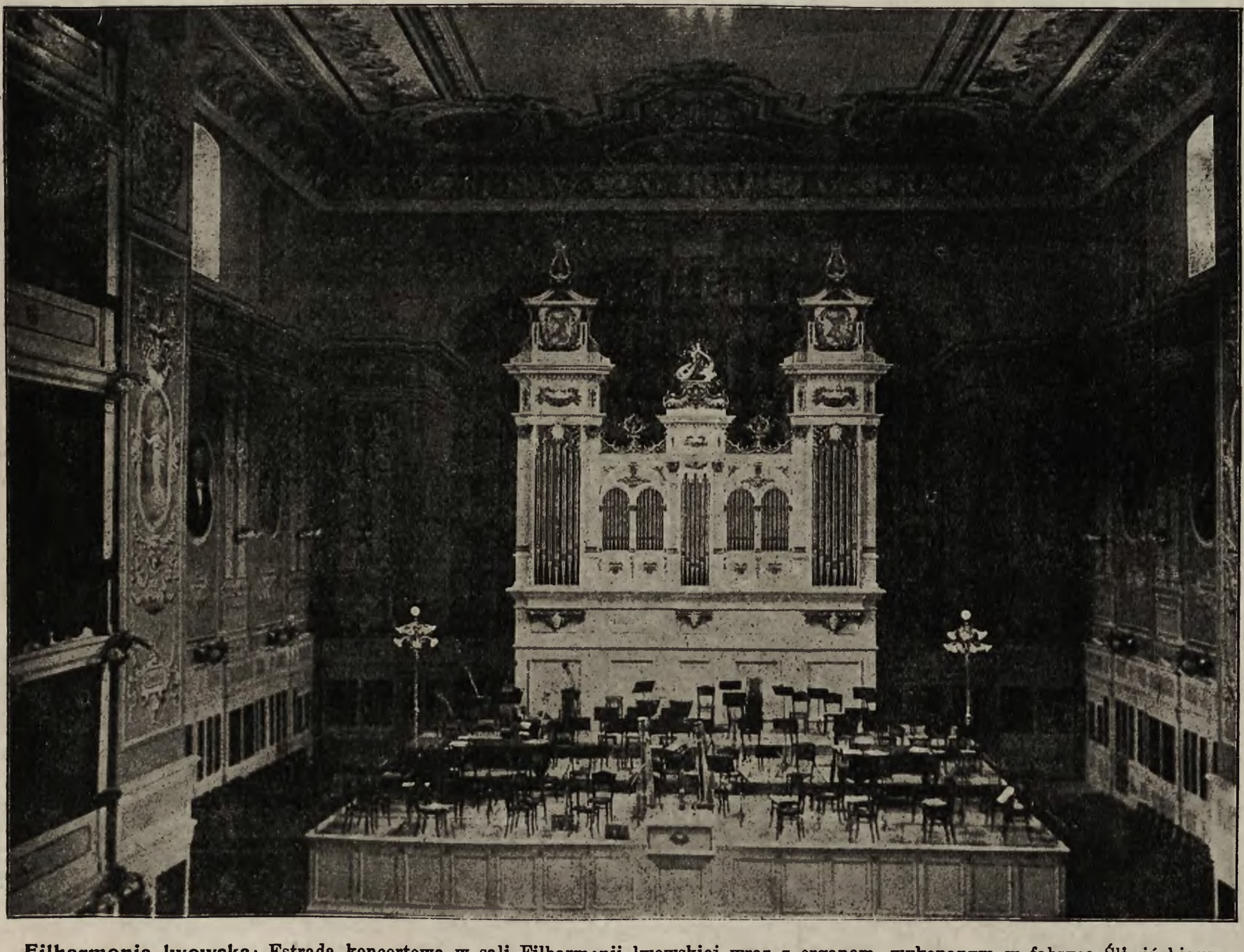
Tem bardziej wpływowem jest to stanowisko, gdy urząd „regimentarza" (jak prezesa „Koła polskiego" zowią) — piastuje człowiek wybitnych zdolności politycznych, dojrzałej wiedzy i nieskazitelnego charakteru.

Typowym takim „regimentarzem" był zgasły niedawno prezes Koła polskiego ś. p. Apolinary Jaworski. Po jego śmierci — nie było rzeczą łatwą obsadzenie, a raczej powołanie na to stanowisko godnego następcy. Dnia 17 bm. padł wybór na Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

Wybór to ze wszech miar szczęśliwy i godny uznania. O popularności i sympatyi nowo-obranego, świadczy najwymowniej fakt, że na głosujących 54 członków „Koła" — 52 oświadczyło się za Wojciechem hr. Dzieduszyckim. Po dokonanym wyborze, podziękował w prostych i szczerych słowach nowy regimentarz za zaufanie, jakiem darzą go koledzy, zaznaczył swoją lojalność i podporządkowanie swej woli i zdania „Kołu" i wyraził przekonanie, że po tak znakomitym poprzedniku i niełatwo przyjdzie mu pełnić ten zaszczytny i honorowy urząd.

Osobistość nowego „regimentarza" jest znaną dobrze zarówno w Wiedniu, jak i w całej Galicyi. Potomek jednej z pierwszych magnackich rodzin w Polsce, liczy hr. Wojciech niespełna lat 60. Pomimo poważnego wieku swojego, odznacza się żywością umysłu, dowcipem i prawdziwie staropolską jowialnością, o której krąży tysiące anegdot.

Nie przeszkadza to jednak wcale, że Wojciech Dzieduszycki posiada głęboką,



Filharmonia lwowska: Estrada koncertowa w sali Filharmonii lwowskiej wraz z organem, wykonanym w fabryce Śliwińskiego.



Dr. Prof. Czesław Pieniążek.

prawdziwą wiedzę i nie poślednie literackie wykształcenie.

Nazwisko jego znane jest dobrze w literaturze, a cały szereg utworów belletrystycznych jak i poważniejszego pokroju — świadczy dostatecznie o pracowitości i uzdolnieniu autora. Wydał między innemi: „Ateny, dzieje współczesne“, „Studya estetyczne“. „Aurelian“ (powieść), „Baśń nad baśniami“, „Król Bolesław II“, „Święty ptak“ i wiele innych.

Nowy „Regimentarz“ urodził się w r. 1845 w Olszanicy w Galicyi, kształcił się we Lwowie i Wiedniu, a już w r. 1879 wstąpił w szranki służby publicznej, był mianowicie posłem do Sejmu galicyjskiego i Rady państwa.

Zreasumowawszy wszystkie dane o hr. Dzieduszyckim: jego wiedzę i wykształcenie, długoletnią praktykę parlamentarną i zacny wzniosły charakter, musimy przyjść do przekonania, że nowy prezes „Koła polskiego“ będzie godnym następcą niezapomnianego w dziejach parlamentaryzmu i w historyi porozbiorowej Polski, Apolinarego Jaworskiego.

Filharmonia lwowska.

W sezonie koncertowym, który dzięki staraniom naszego Towarzystwa Muzycznego w tym roku wzbudził wśród Krakowian wielkie zainteresowanie, ponieważ zarząd Towarzystwa dotychczas tylko same pierwszorzędne siły pozwolił podziwiać nam na estradzie, należy wspomnieć, że jedną jedyną słabą stroną tych koncertów jest brak odpowiedniej koncertowej sali.

Co prawda brak ten w najbliższej przyszłości zostanie usunięty, gdyż miasto przystąpiło wreszcie do gruntownej przeróbki gmachu starego teatru, gdzie między innemi i sala koncertowa, zbudowana według wszystkich najnowszych wymogów, znajdzie pomieszczenie — ale trudno zapomnieć jak długo gmach ten stał nieużywany i opuszczony, służący w pierwszym rzędzie na... skład dekoracyi teatru miejskiego.

W tym punkcie Lwów uprzedził nasze miasto, wskazał mu drogę i zawstydził poniekąd swoją rzutkością, z jaką w dość ciężkich tamecznych warunkach, bo zaledwie Melpomena opuściła stare mury skarbkowskiego gmachu, a zagnieździła się w nowym budynku, zabrał się do pracy i widownię starego teatru przekształcił na koncertową salę, którą urządzono w ten sposób, że najwybitniejszy nawet znawca nie potrafiłby podnieść przeciw niej ani jednego słowa zarzutu.

Sala ta zrazu była przytułkiem dla lwowskiej Filharmonii, powołanej do życia przez byłego dyrektora teatru hr. Skarbka, Ludwika Hellera. Okazało się jednak wkrótce, że sprytny ten przedsiębiorca przeliczył się z finansowemi możnościami ludności. Lwów nie był w stanie pokryć olbrzymich kosztów takich koncertów, w których występowały siły artystyczne światowej sławy, w których brała udział własna orkiestra Filharmonii, złożona z samych ukończonych konserwatorzystów i przedsiębiorstwo p. Hellera upadło.

Upadło, ale pozostała miastu Lwów wspaniała sala koncertowa, wraz z organem fabrykacyi Śliwińskiego, sala, którą miasto śmiało szczycić się może.

Kraków z tego powodu z zazdrością spogląda w stronę Lwowa, ale niech się tem pocieszy, że obecny zarząd gminy postara się w jak najprędszym czasie usunąć ten brak dotkliwy.

Z półwyspu bałkańskiego.

Serbia kokietuje z Bułgaryą. Piotr I. z rodu Karadżordżewiczów, przywdziawszy wreszcie urzędownie koronę serbską, splamioną krwią ostatniego Obrenowicza, wystąpił jako oficyalny pomazaniec boży i rozpoczął składać wizyty, a że na innych dworach nie był pewny dobrego przyjęcia i bał się, aby mu nie zamknięto drzwi przed nosem, więc wybrał się w gościnę do swego najbliższego sąsiada, bułgarskiego władcy, księcia Ferdynanda.

Księciu zaimponował królewski tytuł kolegi po tronie.

Dowiedziawszy się więc o zamierzonej wizycie Piotra I., oświadczył dyplomatycznemu zastępcy serbskiego dworu, że będzie mu bardzo miło powitać w swym kraju takiego gościa. A kiedy serbski królik przybył do Sofii, książę Ferdynand ustroił się na jego przyjęcie w cały blask swego majestatu książęcego, we wszystkie różną drogą, a najwięcej drogą litości uzbierane ordery i w uprzejmy wyraz twarzy.

Naturalnie król Piotr przybrał się także w odświętną szatę i z ust sypał słowa miłości bratniej tak wzniosłe, że nikt nie sądził, aby Piotr serbski mógł być podobnym moralizatorem i posiadać taki zapas miłości w swem sercu.

Podczas tej wizyty obaj władcy mówili wiele o konieczności utrzymywania między Serbią a Bułgaryą dobrych stosunków. a nawet pono zawarto cichy sojusz celem wzajemnego popierania się tam, gdzie interesa obu państw mają pewne punkty styczne.

A punktów takich drobne państewka, z których składa się półwysep bałkański, mają dosyć, zwłaszcza teraz, kiedy mocarstwa Europy zajęły się sytuacyą w Macedonii i zwróciły baczną uwagę na stanowisko Turcyi wobec tego kraiku.

Przedewszystkiem zaś interesowaną jest Bułgarya, w której powstańcze komitety macedońskie mają swoje siedlisko. Sympatye ludu bułgarskiego są po stronie powstańców macedońskich i tego roku z wiosną rząd bułgarski był już bliski wypowiedzenia wojny padyszachowi, który zżymał się na Bułgaryę, jako na ognisko ruchawek powstańczych.

A choć obecnie ruch macedońskich komitetów osłabnął, choć można spodziewać się, że mocarstwa do wojny na półwyspie bałkańskiem w żadnym wypadku nie dopuszczą, Bułgarya woli mieć pewnych sprzymierzeńców, na których mogłaby liczyć w razie orężnego starcia z wielką Portą i tem tylko można wytłumaczyć owe serdeczności i kumanie się księcia Ferdynanda z serbskim królewiątkiem.

A Serbowie w ewentualnym wypadku byliby dla Bułgaryi dobrym sprzymierzeńcem, bo sami mają jeszcze z Turcyą wiele rachunków do wyrównania, bo każdy Serb żywi głęboką nienawiść do Turków, którzy tak długo gnębili Serbię w swej niewoli.



Z półwyspu bałkańskiego: Książę Ferdynand bułgarski

Prof. dr. Czesław Pieniążek.

Zasłużony pedagog, zdolny pisarz, dawny bojownik wolności Ojczyzny — po całych latach natężającej żmudnej służby publicznej, ustępuje z widowni w zacisze domowe.

Dnia 6 października b. r. żegnało grono kolegów zawodowych ustępującego na własne żądanie weterana polskiego szkolnictwa, prof. Czesława Pieniążka.

Po 31 latach służby pedagogicznej należy mu się już chyba dobrze zasłużony spoczynek i chociaż trochę wdzięczności ze strony kilku pokoleń, których umysł serce i charakter kształcił.

Wyrazem owej wdzięczności i uznania było solenne pożegnanie, jakie zgotowane mu zostało przez gremium profesorów. Dyrektor szkoły realnej i poseł do Rady Państwa, Dr. Petelenz, z rozrzewnieniem rozstawał się z ukochanym przez wszystkich kolegą i w podniosłych, rzewnych słowach uczcił zasługi prof. Pieniążka, poczem zgromadzeni zasiedli do skromnej pożegnalnej, uczty wydanej na cześć ustępującego kolegi — emeryta.



Z półwyspu bałkańskiego: Straże tureckie obserwują ruchy powstańców na granicy bułgarskiej.



Uroczystość Sobieskiego na Kahlenbergu:
Obraz w kaplicy Jana III na Kahlenbergu.

Pogodny nastrój uroczystości zmąciła jednak pewna okoliczność: oto młodzież gimnazyalna, młodzież, którą tak gorąco Pieniążek ukochał, nie wzięła udziału w pożegnaniu zacnego profesora.

Dziwny to a smutny zarazem fakt... Młodzież polska zazwyczaj tak entuzyastyczna, tak łatwo zapalna, nie zdobyła się na tyle trudu czy pamięci — by zbiorową jakąś manifestacyą dać wyraz swojej wdzięczności i przywiązania do swego duchowego przewodnika. Nie wątpimy o poczciwem sercu i charakterze młodzieży, nie posądzamy jej bynajmniej o niewdzięczność lub lekceważenie zasług. Fakt jednak zostaje faktem: W pożegnaniu prof. Czesława Pieniążka — młodzież nie wzięła udziału.

Pod adresem więc uczącej się młodzi, ku jej pamięci i przypomnieniu pozwolimy sobie przytoczyć kilka dat i faktów z życia zasłużonego pedagoga.

Czesław Pieniążek syn starej szlacheckiej rodziny ujrzał światło dzienne w r. 1844 w ziemi tarnowskiej, gdzie ojciec jego posiadał majątek ziemski. Studya kończył częściowo w Tarnowie, częściowo w Krakowie. W r. 1863 jako ośmnastoletni młodzieniec, uczeń VIII klasy gimnazyalnej poszedł do powstania. Służył kolejno w oddziałach Mossakowskiego i Mycielskiego i w trzech krwawych bitwach brał udział, następnie zaś został mianowany adjutantem organizatora Galicyi zachodniej Erazma Skarżyńskiego.

Po upadku powstania zapisał się jako zwyczajny słuchacz na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po ukończeniu studyów wyjechał do Drezna.

Osiadłszy na dłuższy czas w tem mieście udzielał tam lekcyi historyi i literatury polskiej przyczem korespondencyami do kilku gazet polskich zarabiał na suchy chleb tułacza. Poza tem jaki taki dochód przynosiły mu publiczne odczyty urządzane dla drezdeńskiej Polonii.

W r. 1873 wrócił do kraju, gdzie we Lwowie został profesorem gimnazyalnym.

Przeznaczony kolejno do rozmaitych dziur i gniazd małomiejskich w Galicyi ustalił wreszcie byt swój i pobyt w Krakowie, gdzie w szkole realnej przez 20 lat wykładał, aż wreszcie znużony pracą i życiem poprosił władzy o zwolnienie z pedagogicznej służby.

Jako literat zdołał również wybitne zająć stanowisko. Pracował zarówno w belletrystyce jak w dziennikarstwie, pisał poezye i komedye.

Zbyt długiem by było wyliczanie prac literackich jubilata, ciekawych odsyłamy do pierwszej lepszej historyi literatury lub encyklopedyi.

Czesław Pieniążek cieszy się mimo podeszłego wieku znakomitem zdrowiem i młodzieńczym umysłem i długie, długie jeszcze lata może służyć piórem społeczeństwu polskiemu czego mu z całego serca szczerze życzymy.

Uroczystość Sobieskiego na Kahlenbergu z powodu odsłonięcia tablicy pomiątkowej.

Dzień jesienny, zimno, mgła londyńska, mimo tego rojno i tłumno na dworcu kolei zębatej w Nussdorfie, u stóp Kahlenbergu, góry wsławionej odsieczą Wiednia r. 1683. Słychać wyłącznie mowę polską, jakby powstały duchy bohaterów polskich poległych na tych błoniach w wielkiej chwili dziejowej, gdy nieśli zbawienie cesarstwu, cywilizacyi i chrześciaństwu. Kończyny Wiednia spolszczały nagle. Pokaźna drużyna. Około pół tysiąca osób. Między nimi: minister galicyjski Piętak, prezes Koła polskiego Wojciech hr. Dzieduszycki i wiceprezes D. Abrahamowicz, otoczeni gronem kilkunastu posłów; pokaźny zastęp wyższych urzędników Polaków z rozmaitych ministerstw, znaczna liczba Polek, miejscowe stowarzyszenia prawie w komplecie, duchowieństwo, przedstawiciele miejscowej inteligencyi polskiej, młodzież akademicka, robotnicy, słowem wszystkie warstwy społeczne, skupione i ożywione jedną myślą i jednym ogniem.

Dwa pociągi osobowe ledwo pomieścić mogą uczestników uroczystości. Nadto dużo młodzieży udało się pieszo na Kahlenberg. Im wyżej wspina się kolej w górę, tem większa mgła, a naszego korespondenta smutkiem napełniająca, gdyż kodak, którym się wyposażył, będzie musiał spoczywać w bezczynności. Nie widać o krok naprzód.

Kahlenberski kościółek pokamedulski, na którego gruzach król Jan III. kazał wznieść ołtarz na miejscu, gdzie się obecnie znajduje „kaplica Sobieskiego“, pięknie przez komitet urządzający odnowiona, przyozdobiona i zaopatrzona w ładną tablicę pamiątkową, ofiarowaną przez krakowskiego rzeźbiarza Kuleszę, a gdzie w pamiętnym dniu 12 września przed 251 laty, zanim zgromił Turków, Mszy św. wysłuchał — skromny ten kościółek posiada zupełnie wygląd wiejski.

Zaroiło się teraz w jego wnętrzu życiem. Pełno pobożnych, rozpoczyna się Msza uroczysta, którą odprawia zmartychwstaniec ks. Kukliński w asystencyi dwóch innych księży polskich, odzywa się chór śpiewem polskim, nawa świątyni przepełniona tak, że zaledwo połowa tych, którzy przybyli, zmieścić się może. Ścisk w zakrystyi, w kaplicy Sobieskiego, a w około kościoła rojno i gwarno.

Z ambony odzywa się słowo polskie. Każe ks. Łukaszkiewicz w zastępstwie arcybiskupa Teodorowicza, który z powodu choroby przybyć nie mógł. Kazanie na tle dziejowem z mądremi refleksyami przystosowanemi do chwili obecnej.

Kaplica Sobieskiego pozostawiona dotychczas w najzupełniejszem zaniedbaniu wyładniała do niepoznania. W ścianę po lewej stronie od wejścia wmurowano piękną marmurową tablicę pomnikową. Nowe malowidło ścian, ołtarz drewniany, wszystkie inne ozdoby, w stylu zakopiańskim, sztuka stosowana swojska, co stylowo odbija się nawet w obrazie ołtarza przedstawiającego Matkę Boską z Dzieciątkiem, w postaci jakoby wyjętej z legendy ludowej. Obraz ten, dzieło artystki-malarki, panny Maryi Grykowskiej, jest darem jej dla kaplicy.



Uroczystość Sobieskiego na Kahlenbergu:
Wnętrze kaplicy Jana III.

Około południa nastąpił powrót do Wiednia, gdzie wieczorem w sali hotelu „zur Post“ odbywa się dalszy ciąg uroczytości, mianowicie: koncert i wieczornica. W koncercie brylował młody śpiewak p. Brzozowski i panna Decykiewiczówna, znana w tamtejszym świecie artystycznym śpiewaczka-amatorka. Koncert był tem oryginalny, że prócz śpiewu solowego i choralnego nie było żadnych innych popisów muzycznych



Uroczystość Sobieskiego na Kahlenbergu:
Kościół na Kahlenbergu.

W tym samym hotelu odbyła się wieczornica „bankietowa“. Zasiadło do stołu przeszło 200 osób, między tymi na miejscu honorowem: prezes Koła polskiego W. hr. Dzieduszycki i Kulesza. Było też kilka delegacyj, mianowicie ze strony mieszczaństwa krakowskiego pod wodzą p. Kossobudzkiego, radcy miejskiego i prezesa Koła mieszczańskiego, polskich słuchaczy akademii górniczej w Leoben i kilku innych.

Szereg mów toastowych rozpoczął przewodniczący komitetu urządzającego dr. Harajewicz. Przed tem odczytał cały szereg telegramów nadesłanych z powodu uroczystości odsłonięcia tablicy pomnikowej w kościele kahlenberskim. Jako pierwszy odczytał telegram mistrza Henryka Sienkiewicza następującej osnowy:

„Biorę całem sercem udział w uroczystości na cześć króla bohatera, który wielką dziejową służbą i wielkim dziejowym czynem naród swój i siebie unieśmiertelnił. Chwała mu po wszystkie czasy“.

Arcybiskup lwowski Bilczewski i biskup przemyski Pelczar nadesłali dla uczestników uroczystości swe błogosławieństwo.

Prezydyum lwowskiej rady miejskiej: Małachowski, Michalski i Ciuchciński oświadczyli telegraficznie, że solidaryzują się z piękną uroczystością dziejową.

Inne depesze nadeszły od rozmaitych stowarzyszeń i ciał zbiorowych z Galicyi, Śląska i Czech.

Telegram mistrza Sienkiewicza wywołał burzę oklasków, trwających kilka minut.

Następnie zabrał głos prezes Koła polskiego Wojciech hr. Dzieduszycki. Wiarą niezłomną, cnotą i działalnością cywilizacyjną we wszystkich kierunkach — nawet między obcymi — zmusimy tych, co o nas zapomnieli, aby o nas pamiętali.

Prezes „Ogniska“ Kohl przemawiał w imieniu młodzieży polskiej akademickiej z zapałem i wielkim polotem, poczem ofiarodawca p. Kulesza odezwał się do zgromadzonych serdecznemi słowy, które znalazły odgłos we wszystkich sercach. Obsypano go oklaskami i odśpiewano gromadnie na jego cześć: „Niech żyje nam!“ Było jeszcze mów kilka, które razem złożyły się na podniosły nastrój wszystkich obecnych.

Uroczystość, która zaczęła się wczesnem przedpołudniem skończyła się dopiero późnym wieczorem, sprawiając pięknym przebiegiem wzniosłe wrażenie na wszystkich obecnych. Pozostanie ona też pamiątką na długie czasy. *G. S.*

Nowi biskupi polscy.

Każdorazowe wyświęcenie dygnitarza kościelnego (mówimy tu o kościele rzymsko-katolickim) jest w Królestwie Polskiem nietylko uroczystością kościelną, ale zarazem i narodową. Zrozumie to każdy, gdy przywiedzie sobie na pamięć, że katoli-

cyzm jest tylko tolerowany w rosyjskiem imperium, podobnie jak i tolerowaną tylko jest narodowość, język polski.

O tolerancyi rosyjskiej mamy my Polacy i cała Europa — dostatecznie jasne pojęcie.

Prawdziwości tego twierdzenia nie potrzeba udawadniać. Dowodów dostarczyło całe ubiegłe stulecie, dostarczyły ich niemało ostatnie wypadki warszawskie.

Nie uszanowano świątecznego nastroju tłumów nie uszanowano płci ani wieku bezbronnej publiczności pojskiej. Odgłosy strzałów żandarmskich mieszały się z okrzykami dzikiego żołdactwa i jękami mordowanych. Do kościoła nie śmiała jednak policya wtargnąć — ołtarz Chrystusowy był jedyną zaporą azyatyckiej dziczy.

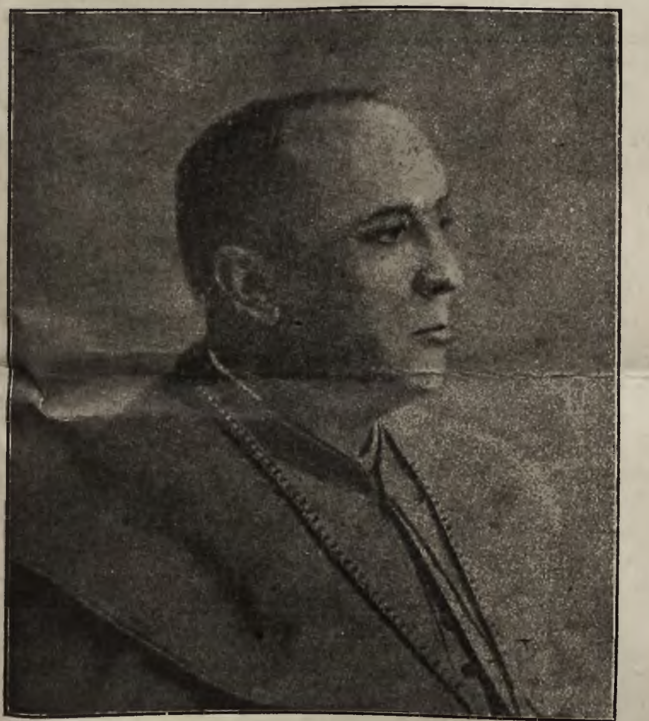
Tu schroniła się strwożona gromada prześladowanych, szukając u stóp Krzyża świętego ratunku pomocy i obrony.

Przywiązanie do religii jest w Królestwie Polskiem tem silniejsze — ile, że i język polski prześladowany i rugowany ze szkół, urzędów — powoli zaś i ze sceny — że język polski powtarzamy, ma właśnie schronienie i ochronę w kościele: u ołtarza, ambony i konfesyonału.

Podobne święto odbyło się niedawno w Petersburgu. Władza duchowna dokonała konsekrecyi na osobie J. E. ks. Józefa Kesslera na biskupa tyraspolskiego.

Uroczystość odbyła się z wielką wystawnością i pompą, przepisaną ceremoniałem.

J. E. ks. metropolita Jerzy hr. Szembek arcybiskup mohylowski dopełnił, święcenia w asystencyi



Nowi biskupi polscy: J. E. ks. A. Wnukowski biskup płocki.

biskupa wileńskiego ks. Edwarda bar. Roopa i biskupa kujawsko-kieleckiego ks. Stanisława Zdzitowieckiego.

Prócz duchowieństwa i szerokich mas polskiej ludności, brali w akcie urzędowo udział urzędnicy departamentu obcych wyznań i delegaci dyecezyalni z Saratowa, którzy nowokonsekrowanemu dygnitarzowi kościelnemu wręczyli dary.

Biskup ks. J. Kessler urodził się w r. 1864 pod Saratowem, na kapłana został zaś wyświęcony przed 15 laty. Jest magistrem św. Teologii, a piastował dotąd godność prałata kapituły tyrospolskiej.

W dniu 4 grudnia odbędzie się podobna druga uroczystość, konsekracya nowomianowanego biskupa ks. Wnukowskiego.

Ksiądz biskup Wnukowski otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1872. W Żytomierzu objął w tamtejszem seminaryum katedrę języka łacińskiego. W r. 1878 został mianowany profesorem w Petersburgu, z powodu nadwątlonego zdrowia nie mógł jednak objąć obowiązków. Obecnie otrzymuje za zgodą i wolą Stolicy Apostolskiej — godność biskupa płockiego.

Ryciny nasze przedstawiają obydwóch dostojników kościelnych.

Ofiara walk dyplomatycznych.

Zdawało się, że konflikt angielsko-rosyjski, spowodowany atakiem floty bałtyckiej na łodzie i statki rybackie pod Hull, został już zażegnany, że wyrok



Ofiara walk dyplomatycznych: Hr. Aleksander Benkendorf poseł rosyjski na dworze angielskim w Londynie.

sądu rozjemczego, na który zarówno zgodził się rząd angielski jak i reprezentant Rosyi w Londynie poseł hr. Benkendorff, załagodzi tę waśń i uspokoi wzburzone umysły angielskiej ludności, gdy nagle całkiem niespodzianie stosunki znów się zaostrzyły.

Oto, pomiędzy rosyjskiem ministerstwem spraw zagranicznych a lordem Landsdowne, angielskim ministrem spraw zewnętrznych powstały nieporozumienia co do składu i kompetencyi międzynarodowej komisyi śledczej, mającej zająć się zbadaniem zajścia pod Hull.

Rząd rosyjski nie chce uznać w tym kierunku układów, jakie hr. Benkendorff zawarł z gabinetem angielskim, a dzienniki rosyjskie, zwłaszcza te, które należą do stronnictwa wojennego, wzywają rząd, aby uderzono na Indye, jeśli tylko Anglia dalej będzie wspomagać Japonię i nie zechce odstąpić od swych wygórowanych pretensyi w sprawie hulskiej.

Ofiarą tego dyplomatycznego zatargu padnie bez wątpienia poseł rosyjski na dworze angielskim hr. Benkendorff i to najniewinniej, bo całym grzechem jego dyplomatycznych zabiegów było chyba to, iż dążył do jak najrychlejszego załatwienia bądź co bądź dla obu stron niemiłej scysyi i to w pokojowy sposób.

Trudno przewidzieć dziś jeszcze, jak się ukształtują te napięte stosunki, ale każdego zdziwić może, że na dworze rosyjskim nie przeważyło zdanie tak roztropnego i wytrawnego dyplomaty, jakim jest hr. Benkendorff.

Hr. Aleksander Benkendorff, którego odwołanie jest prawie pewne, pochodzi ze starej inflanckiej rodziny i jest synem Konstantego hr. Benkendorffa, który piastował godność jenerał-adjutanta a ożeniony był z księżniczką Luizą von Troy-Dülmen. Urodzony i wychowany w Berlinie, gdzie ojciec jego przez długi czas był zastępcą spraw wojskowych przy rosyjskiej ambasadzie, ukończywszy studya, poświęcił się karyerze dyplomatycznej i przeszedłszy szybko wszystkie jej szczeble, został w miejsce hr. Murawiewa posłem rosyjskim na dworze duńskim w Kopenhadze. Stąd hr. Aleksander Benkendorff, wykazawszy wielkie dyplomatyczne zdolności, został mianowany posłem z ramienia Rosyi w Londynie i tu przebywał długi czas, ciesząc się wielką sympatyą u angielskiego dworu.



Uczczenie dyrektora Tow. muz. w Czerniowcach: Wojciech Hrimaly, artystyczny kierownik Tow. muzycznego w Czerniowcach.

Być może nawet, że tylko dzięki tej sympatyi, którą rosyjski dyplomata zdołał sobie zaskarbić wśród decydujących sfer w Anglii, rząd Wielkiej Brytanii nie wystąpił z całą surowością wobec floty bałtyckiej i nie zamknął jej dalszej drogi.

Na to jednak nie zwraca uwagi stronnictwo wojenne, które obecnie wzięło górę na dworze rosyjskiem i które uważa za hańbę poddanie się życzeniom Anglii, wymagającej całkiem słusznie satysfakcyi i ukarania oficerów, będących przyczyną krwawej tragedyi pod Hull!...

Spodziewane obecnie odwołanie, nie wpłynie jednak chyba na dalszą jego dyplomatyczną karyerę, bo Rosya ma zbyt mało tak gładkich w postępowaniu i tak roztropnych dyplomatów, aby mogła odrazu pokryć lukę, jaką wywołałoby wśród szeregów zagranicznych posłów ustąpienie tego dyplomaty.

Uczczenie dyrektora Wojciecha Hrimalyego z okazyi 30-letniego artyst. kierownictwa Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach.

W bieżącym miesiącu upłynęło lat 30 od czasu objęcia artystycznego kierownictwa Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach przez dyrektora Wojciecha Hrimalyego.

Ogromny rozwój sztuki muzycznej nietylko w Czerniowcach, lecz w całej Bukowinie w ciągu



Nowi biskupi polscy: J. E. Józef Kessler biskup tyraspolski.

ostatnich 30 lat jest wyłączną jego zasługą. Dyrektor szkoły muzycznej Towarzystwa Muzycznego w Czerniowcach p. Wojciech Hrimaly artyzmem swoim, swoją niezmordowaną czynnością i pochopnością do udziału w koncertach na cele dobroczynne i humanitarne — bez względu na to jaka narodowość lub jakie wyznanie z dochodów tych miało korzystać, zdołał sobie zjednać sympatyę wszystkich, a Bukowińczycy dawno już doszli do przekonania, iż jego działalność na polu muzycznem była i jest pierwszorzędnej dla kraju doniosłości. Hrimaly stał się ulubieńcem wszystkich Bukowińczyków.

W r. 1902 wyznaczono z okazyi czterdziestoletniego jubileuszu Towarzystwa Muzycznego w wdzięcznem uznaniu jego zasług około rozwoju sztuki muzycznej na Bukowinie dar honorowy w kwocie 2000 koron z funduszu krajowego.

Celem urządzenia uroczystego obchodu 30 jubileuszu mistrza i uczczenia jego niespożytych zasług zawiązał się komitet, w skład którego weszli radca dworu, prof. dr. Kleinwächter, radca rządu i prez. towarzystwa muzycznego Dr. Duzinkiewicz prof. Wojciech Mikulicz i radca ces. i zast. prezesa towarzystwa Emanuel Rozenzweig.

Na cześć jubilata odbył się dnia 19 b. m. koncert, który zakończył się komersem, w którym wzięło udział najpoważniejsze obywatelstwo naszego miasta, a Towarzystwo muzyczne okazało zasłużonemu dyrektorowi swoją wdzięczność w formie daru honorowego.

Ster.



Niedostępne krainy: „Lamowie“, kapłani buddyjscy.



Niedostępne krainy: Muzykanci tybetańscy.

Niedostępne krainy.

Wiadome całemu światu są zaborcze zakusy Anglików. Mało jest „Królowej Mórz“ – Anglii opanowanie wszystkich wód świata, mało jest jej zawładnięcie najbogatszemi ziemiami, które niosą jej w przymusowej dani nieocenione płody bujnej swojej przyrody: mało jej Indyi, mało bogatych wysp Archipelagu.

Powaga Anglii — jako jednego z pierwszych mocarstw została zachwianą, bezprzykładną a upokarzającą Anglię wojną z Boerami.

Ten mały, nie rozporządzający nawet stałą armią „naród“ – o ile tej nazwy w odniesieniu do „Boerów“ użyć można — śmiał przez dwa lata stawiać opór potężnemu „Albionowi“. Uległ, bo uledz musiał, bo zawsze brutalna siła zwycięża tam, gdzie do walki z nim staje poświęcenie, miłość kraju i podobne czynniki, które nic wspólnego nie mają z systematem niszczenia narodów.

Pomimo tych wszystkich przewag materyalnych nie zdołała jednak Anglia tak prędko uporać się z bohaterskimi obrońcami wolności Południowej Afryki.

Kosztowało ją to wiele ofiar, wiele upokorzeń w obliczu Europy i całego świata — zanim zdołała swoją ciężką stopę położyć na karku Boera.

Zwyciężyć bądź co bądź musiała — i zwyciężyła. Odniosła zwycięstwo na placu boju, poniosła jedn k moralną porażkę, którą postanowiła gdzieindziej i w inny sposób sobie powetować.

Za długo wypadałoby czekać na okazyę. Trzeba było takiej okazyi wyszukać.

Otóż na niedostępnych wyżynach Tybetu żyje lud górski oddany pracowitemu a mistycznemu życiu według przepisów proroka Buddy. Zazdrosni o swoje ideały i bóstwa, o swoją przeszłość historyczną i całokształt prastarej Kultury — strzegli też Tybetańczycy starannie przed okiem i stopą przybysza „świętej“ — w ich pojęciu – ojczyzny swojej.

Na ten też kraj niedostępny a tajemniczy zwróciło się chciwe oko Anglika.

I postanowiono „wyprawę“. Wyprawa rzekomo „pokojowa“ przedstawiała się widocznie dość groźnie mieszkańcom, skoro po krótkim oporze — udało się pokojowej ekspedycyi uzbrojonej w najnowszego systemu karabiny, wraz z towarzyszącemi jej działami — dotrzeć do świętego miasta Lhassy, skąd naczelnik kraju Dalej-Lama, nie czekając nieproszonych gości zemknął wraz z rosyjskim agentem politycznym – – na obce terytoryum.

Czem motywują Anglicy najście Tybetu? Oczywiście względami na handel i przemysł. Rozchodziło się im o pewne ustępstwa czy też koncesye, których nie uzyskawszy — postanowili w energiczniejszy sposób upomnieć się o należne uszanowanie ich woli.

Skutek pomyślny – jak było do przewidzenia – uwieńczył ich zamiary — i traktat „stanął“ — traktat przynoszący Anglii nieobliczalne korzyści, a podający równocześnie wolny i niedostępny dotychczas Tybet w moc i zależność Anglii.

Jakiekolwiek jednak pobudki kierowały zaborczem państwem — nie da się zaprzeczyć, że dla krajoznawstwa w szczególności, wogóle zaś dla postępu i cywilizacyi, jest to jedna z pierwszorzędnych zdobyczy — moralnych. Pomówmy kilka słów o mieszkańcach tego kraju: Górale tybetańscy są to ludzie mongolskiego typu, zachowujący wszystkie cechy owej rasie właściwe. Pojęcie jasne o nich dają nasze ryciny.



Niedostępne krainy: Kobiece typy z południowego Tybetu.

„Tybetańscy muzycy“ są ich najlepszem wyobrażeniem. Pojęcie muzyki i muzykalności jest u nich jak wogóle u wschodnich narodów bardzo prymitywne. Instrumenta ich ograniczają się do kobzy i pewnego rodzaju gitary lub mandoliny, o trzech strunach, na której wygrywają smyczkiem swoje monotonne melancholijne melodye.

Tybetanki malują sobie twarze na brunatno, by tem niejako dać poznać, że obcym mężczyznom — nie mają zamiaru się podobać. Sądzimy, że i bez tej prezerwatywy nie wzbudziłyby zachwytu w nikim — przynajmniej w nikim z nas „białych ludzi“, mających inne, i zupełnie odmienne pojęcia o „pięknie niewieściem“.

„Lamowie“ tybetańscy — po naszemu kapłani, odpowiadaliby pojęciu europejskich anochorztów lub pustelników. Trzecia nasza rycina przedstawia właśnie owych „świętych mężów“. Strój ich przypomina nieco przystrojenie naszych wędrownych, jarmacznych kuglarzy i sztukmistrzów.

Lamowie to jedyna oświecona kasta w Tybecie. Im też, jako najrozumniejszym członkom społeczeństwa zdana jest troska o wychowanie i wykształcenie młodzieży. Trzeba przyznać, że „Lamowie“ w swojem rozumieniu rzeczy — odpowiadają godnie włożonym na nich obowiązkom. Ślubami swymi zobowiązani są do przestrzegania ubóstwa, czystości i miło-siernych uczynków. Po za wychowywaniem młodzieży pełnią służbę u ołtarza, służbę streszczającą się w ciemnych tajemniczych misteryach i zabobonnych praktykach.

Nie ulega wątpliwości, że z najściem Anglików cała bajeczna kultura pierwotnego tego narodu zaniknie i chyba uczony badacz przeszłości w starych kronikach doszpera się śladów prastarych dziejów tajemniczego kraju.

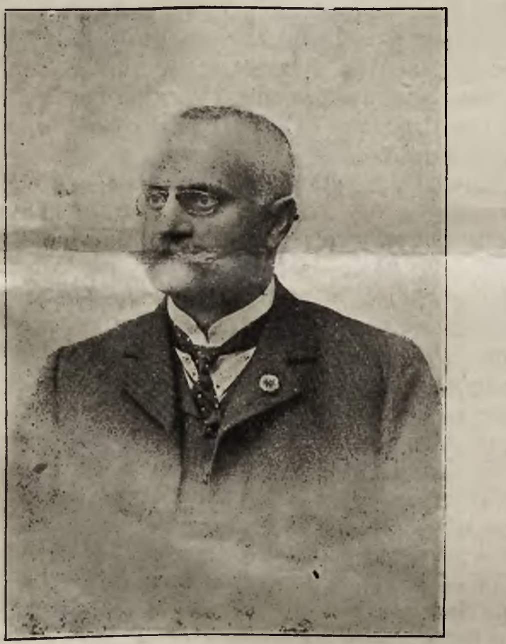
Rozkwit starego grodu Rewery.



Rozkwit starego grodu Rewery: Ks. Jan Eiselt, wicemarszałek Rady pow. i członek Rady miejskiej w Stanisławowie.

Zpośród wszystkich prowincyonalnych miast Galicyi, stary gród Rewery Stanisławów, pierwsze zajmuje miejsce i oczy przybysza uderza swą, że się tak wyrazimy, „europejskością", tymi cechami kultury, o których piętno w pierwszym rzędzie starają się nasze stołeczne miasta, Lwów i Kraków.

Miasto, liczące wraz z przedmieściami z górą pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, dzięki zapobiegliwości i usilnej pracy swego burmistrza, dra Artura Nimhina, który w usi-



Rozkwit starego grodu Rewery: Józef Wierzejski, radca magistratu w Stanisławowie.

łowaniach swych wspierany przez takich członków rady miejskiej, jak przez wiceprezydenta tamecznego sądu Artura Fangora, księdza Jana Eiselta, — piastującego także godność wicemarszałka powiatu, dra Leona Borala, adwokata krajowego i p. Mateusza Pileckiego, zdołał w gospodarce miejskiej przeprowadzić znaczne korzystne zmiany i w ciągu dziesięciu lat zmienić jego zewnętrzną fizyognomię do niepoznania. Pełnym zapału i energii tym pracownikom nad dobrem ogółu mieszkańców i nad rozwojem miasta dzielnie sekundował w ich usiłowaniach radca magistratu Józef Wierzejski, przyjmując na swe barki wykonanie tego wszystkiego, co inicyatywa ze strony jego przełożonych uznała za niezbędne i korzystne dla miasta.



Rozkwit starego grodu Rewery: Adw. kraj. dr. Leon Boral, r. m. Stanisławowa.

To też dzięki gronu tych ludzi, Stanisławów posiada obecnie wielkomiejskie oświetlenie, takie, jakiegoby się i Lwów nie powstydził, cały szereg placów, skwery, mogące śmiało konkurować z cudownem urządzeniem klombów i gazonów na krakowskich plantach, a szerokie, wygodne chodniki, ulice dobrze brukowane i nader czysto utrzymane mogą zdumiewać wszystkich, bo my niestety przyzwyczailiśmy się już do błota i brudu, którego synonimami są prowincyonalne miasta i miasteczka naszego kraju.

Oprócz tego cały szereg gmachów oryginalnych i pięknych w całem tego słowa znaczeniu, wśród których ratusz, zbudowany w stylu renesansu wiedeńskiego i ozdobiony wysoką zegarową wieżą, zwraca przedewszystkiem na siebie uwagę, nie mało przyczynia się do przystrojenia miasta i robi imponujące wrażenie, nadając mu wygląd małej stolicy halickiej ziemi, zwanej ongiś także Rusią czerwoną.



Rozkwit starego grodu Rewery: Budynek ratuszowy w Stanisławowie.

A ponieważ zarówno burmistrz starego grodu Rewery, jak i udzielający mu poparcia członkowie rady, w pracy swej nie ustają, ale z każdym niemal dniem starają się wprowadzić jakąś nowość, upiększyć miasto i przyczynić się do jego rozwoju, więc też możemy mieć nadzieję, że Stanisławów, krocząc dalej tą drogą postępu, zajmie wśród prowincyonalnych miast Galicyi naczelne stanowisko.

A szkoda, że inne miasta niechcą wstępować w ślady Stanisławowa!...

Zwycięstwo Pobiedonoscewa.

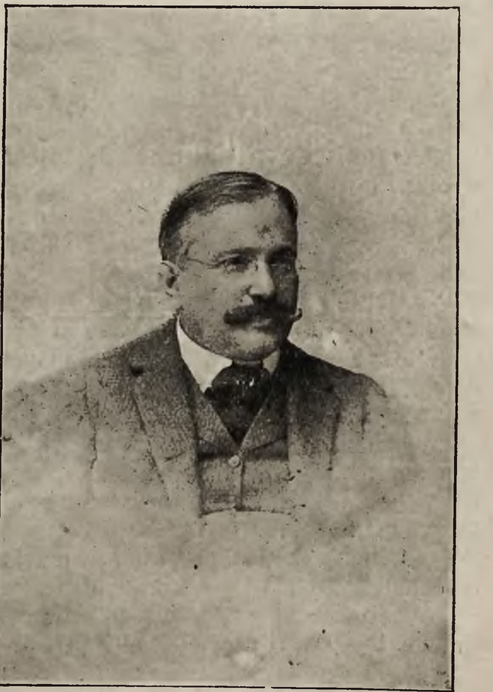
Pobiedonoscew zwyciężył, czyli inaczej i otwarcie mówiąc, znów zwyciężyła w wewnętrznej polityce rosyjskiej idea wstecznictwa na korzyść absolutnych rządów, znów lekkie echo swobody, echo echa konstytucyjnych ustaw i prądów, w samym zarodku zostało zgniecione przemożnym wpływem starego biurokraty, po za którym stoi kamaryla dworska z carową wdową i paru wielkimi książętami na czele.

Pobiedonoscew zwyciężył! A kto jest ten Pobiedonoscew? Ach, niestety imię to zna, pamięta i wspomina każde nawet małe dziecię polskie, które urodziło się pod zaborem rosyjskim, — a wspomina je ze wstrętem i nienawiścią, jako imię największego wroga polskości i katolicyzmu.



Rozkwit starego grodu Rewery: Wiceprezydent sądu i radny m. Stanisławowa Artur Fangor.

Konstanty Pobiedonoscew, urodzony w Moskwie r. 1827, a więc obecnie siedemdziesięciosiedmioletni starzec, po ukończeniu studyów prawniczych, posiadający ogromne zdol-

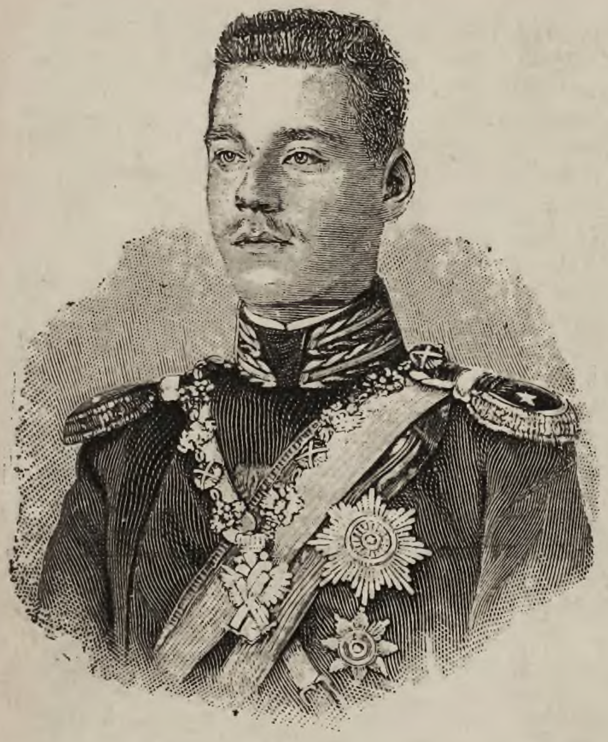


Rozkwit starego grodu Rewery: Burmistrz miasta Stanisławowa dr. Artur Nimhin.

ności i szeroką wiedzę, przeszedłszy szybko niższe rangi w moskiewskich departamentach senatu, został mianowany profesorem cywilnego prawa uniwersytecie w Moskwie, a równocześnie udzielał wykładów z tego zakresu nauk synom cesarza Aleksandra II. Na tem to stanowisku pozyskał sobie tak znaczny wpływ u dworu, że niebawem mianowano go zrazu członkiem rady dla ministerstwa sprawiedli-



Rozkwit starego grodu Rewery: Mateusz Pilecki, radny miasta Stanisławowa.



Zwycięstwo Pobiedonoscewa: Wielki książę Michał Aleksandrowicz, b. następca tronu rosyjskiego.

wości, a następnie kolejno senatorem, członkiem rady państwa, a wreszcie nadprokuratorem „świętego synodu“.

Uzyskawszy to stanowisko, które jest jednem z najbardziej wpływowych urzędów w wewnętrznej organizacyi Rosyi, Pobiedonoscew stworzył na dworze carskim stronnictwo konserwatywne, wsparty przez carowę-wdowę i przez wielkich książąt: Cyryla, który parę miesięcy temu przebywał jeszcze na placu boju i cudem tylko uratował się podczas zatonięcia pancernika „Petropawłowsk“ wówczas, gdy zginął admirał Makarow komendant floty portarturskiej; Michała Michałowicza, który do niedawna był następcą tronu i dopiero, gdy Mikołajowi II. urodził się syn, musiał złożyć ten tytuł—oraz Sergieja Michałowicza, jenerała broni całej rosyjskiej artyleryi.

Zasługi Pobiedonoscewa są znane. Prześladowania unitów na Litwie, krew, co się polała w Krożach, wszystkie antypolskie ukazy, to jego dzieła, to on był ich moralnym autorem, suflerem ich tekstu!

A dziś idee jego znów zwyciężyły, znów Rosya zamiast pójść choć krok naprzód, staje na tem samem stanowisku, na którem postawiła ją ręka Katarzyny I.!

Gdy nowy minister spraw wewnętrznych, książę Światopełk-Mirski, zwrócił się do cara z żądaniem wprowadzenia choćby minimalnych reform, gdy na drodze tej postawił krok pierwszy, zwołując zgro-



Zwycięstwo Pobiedonoscewa: Konstanty Pobiedonoscew nadprokurator „świętego synodu“.

madzenie zastępców ziemstw, Pobiedonoscew poruszył wszystkie sprężyny, użył całego swego wpływu i uzyskał zakaz tego zgromadzenia, a tem samem sparaliżował dalszą działalność księcia Mirskiego i zmusił go do ustąpienia z zajmowanego stanowiska.

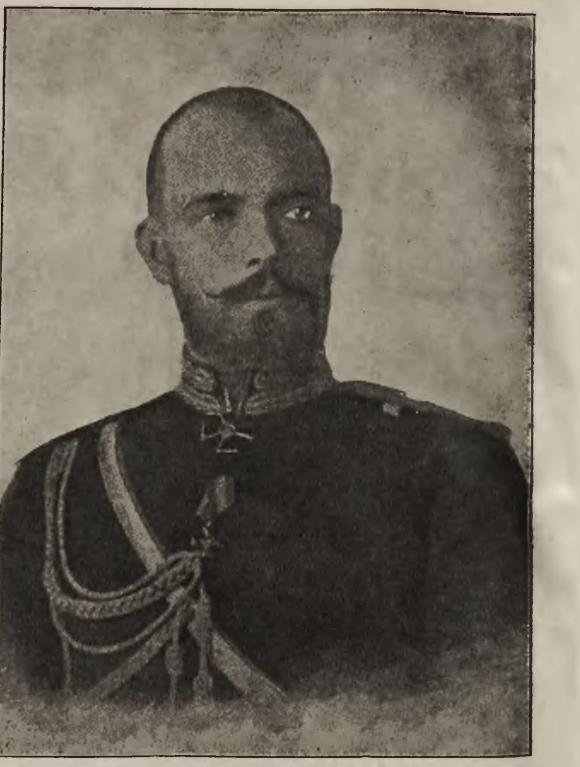
Dotychczas wprawdzie książę Światopełk-Mirski nie złożył jeszcze ministeryalnej teki, ale wobec takiego stanu rzeczy, wobec nieuwzględnienia, a nawet wprost odmownej odpowiedzi na jego żądania, będzie musiał się usunąć.



Zwycięstwo Pobiedonoscewa: Wielki książę Cyryl który szczęśliwie uniknął śmierci podczas zatonięcia „Petropawłowska“.

I mimowoli na myśl przychodzi pytanie, kto będzie jego następcą.

Kto? Na to imieniem i nazwiskiem odpowiedzieć nie można, ale trzeba spodziewać się i wątpliwości nawet nie ma, że nowy minister spraw wewnętrznych wyjdzie z szeregów grupujących się



Zwycięstwo Pobiedonoscewa. Wielki książę Siergiej Michajłowicz, jenerał broni całej artyleryi rosyjskiej.

przy Pobiedonoscewie, którego zapatrywania w ostatniej walce znów zwyciężyły.

Wzrost przemysłu maszynowcgo,

Skromnem było stanowisko, jakie pierwotnie zajmowała maszyna do szycia. Miała ona długi czas w kobiecem gospodarstwie omal to samo zastosowanie, jakie dawniej historyczne wrzeciono, przy którem pilne prządki spędzały długie zimowe wieczory, snując za złotą przędzą nić marzeń. Lecz tempora mutantur, trudne warunki bytu zniewoliły szersze masy do szukania coraz to nowych źródeł zarobku — i tu maszyna do szycia oddała wielkie usługi, stwarzając egzystencyę tysiącom szwaczek, krawczyniom i t. p. Lecz nietylko w gospodarstwie domowem znalazła maszyna do szycia praktyczne zastosowanie; zrobiła ona również wyłom i przewrot w wszelkim przemyśle, w którym dziś śmiało rzec można — zajmuje dominujące stanowisko. Wszelkie fabryki szewskie, taniej garderoby, bielizny, gorsetów, pasów okrętowych, jak niemniej wyroby konfekcyi damskiej i t. d. nie mogłyby się dziś bez niej obejść.

W przejazdzce mej po Francyi, Anglii, i Niemczech—pisze jeden z większych przemysłowców—miałem sposobność przekonać się, jak w krajach tych traktowanym jest przemysł. — Czas, to pieniądz — nie jest tam czczą formułką, wielkie fabryki bowiem zalewające rynki handlowe swemi wyrobami, produkują takowe przy pomocy siły motorowej i rzeczywiście imponującem jest wraże-



Wzrost przemysłu maszynowego: Fabryka taniej garderoby, poruszana siłą motoru, a urządzona przez firmę Singer Tow. Akc. maszyn do szycia w Glasgowie.



Wzrost przemysłu maszynowego: Ekran haftowany, wystawiony w oknie firmy Singer w Krakowie.

nie. jakie odnosimy na progu tych przybytków pracy. Setki robotników obsługują maszyny pędzone siłą elektryczną, z ciszą przerywaną tylko monotonnym stukaniem



Chaos francuski: Prezydent ministrów Combes.

maszyn, lub krótkim rozkazem werkmistrza fabryki.

Jak każda proza nie jest pozbawioną swej idealnej strony, ma również i maszyna zalety, które ją wynoszą ponad poziom realizmu. Piękne artystyczne hafty, wykonane na maszynie tej, idą w zawody z artyzmem. Patrząc na te z wszelką doskonałością wykończone prace, mimowoli nasuwa się pytanie: igła, lub pędzel? Do jakiej zaś perfekcyi hafciarskiej doszła maszyna, świadczą o tem dowodnie roboty, wystawione w sklepie firmy Singer Co Tow akc. maszyn do szycia w Krakowie, przy ul. Szpitalnej l. 40.

Illustracya nasza przedstawia ekran haftowany przez nowo otwartą hafciarnię maszynową dawniejszych nauczycielek powyższej firmy: pp. Olgi Hubaczek i Julii Stempińskiej. — Haft maszynowy bowiem, wytworzył u nas nową gałąź przemysłu, który bardzo pomyślnie się rozwija.

Zaznaczyć należy, iż pierwszą hafciarnię założyła u nas p. Marya Krygowska, której prace już nagrodzone zostały na kilku wystawach.

Chaos francuski.

Minister wojny André, który pomimo, iż odczuł siłę nacyonalistów na własnej twarzy w postaci razów wymierzonych mu przez deputowanego Syvetona, nie chciał bynajmniej ustąpić z zajmowanego przez się stanowiska. Ostatecznie po długich wahaniach dał się przecież nakłonić prezydentowi ministrów Combesowi do opuszczenia ministeryalnej ławy, a Combes w tym samym dniu, w którym André wniósł prośbę o dymisyę, pokrył lukę powstałą składając osieroconą tekę ministerstwa wojny w ręce... socyalisty Maurycego Berteaux, deputowanego z departamentu Seine-et-Oise.

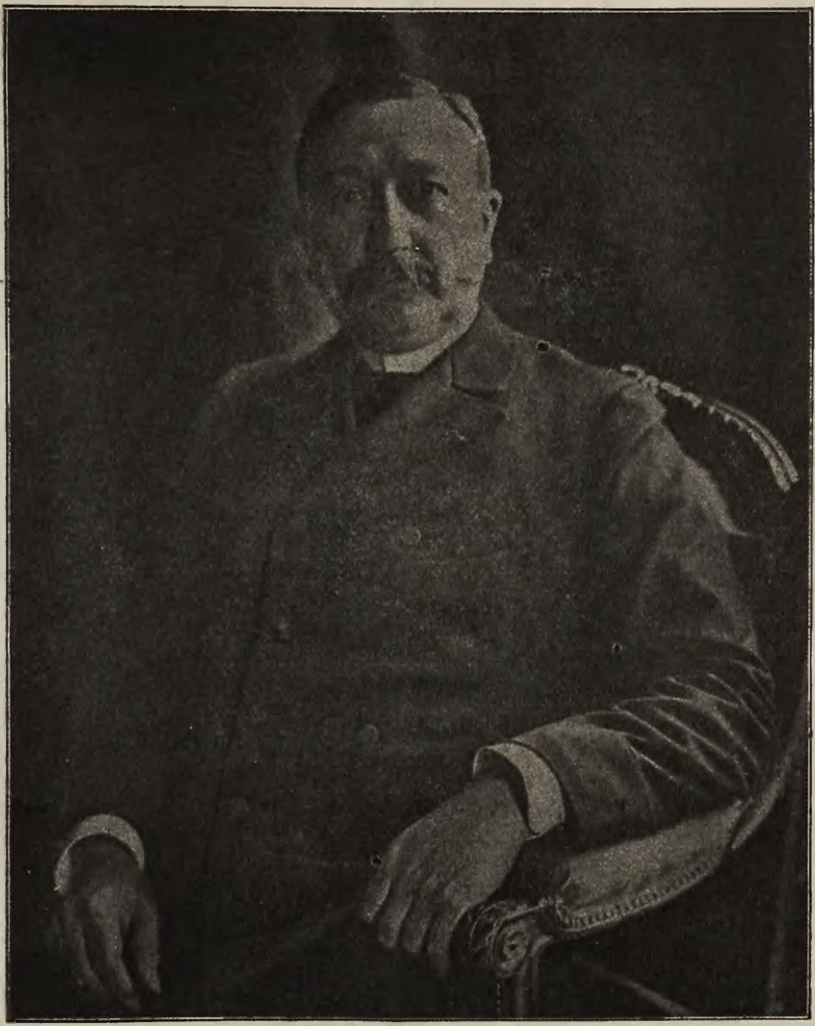
Ciekawym jest ten chaos francuski, ciekawą ta wewnętrzna polityka, a najciekawszym jest taki Combes, który tekę ministerstwa wojny oddaje ajentowi giełdowemu, który gdzieś tam kiedyś piastował godność kapitana armii terytoryalnej, a który jako socyalista musi być wrogiem militaryzmu!...

Czy Combes nie zdaje sobie sprawy, w jak trudnem położeniu będzie obecny minister wojny, który dotychczas zwalczał wszystkie żądania rządu w sprawie podwyższenia kredytów wojskowych?

Wszak teraz z natury rzeczy Berteaux będzie zmuszony szermować o te kredyty w Izbie deputowanych i bronić tych, na których tak ostro dawniej napadał.

Pominąwszy jednak tę sprawę, zachodzi inne pytanie. Oto, jakim właściwie ministrem wojny będzie człowiek nie mający w sprawach wojskowych fachowego wykształcenia? Gdyby we Francyi chciano trzymać się racyonalnego przysłowia „patrz szewcze swego kopyta“, to Berteaux, jako ajent giełdowy, mógłby jeszcze zostać ministrem skarbu, ale ministrem wojny nigdy, chyba na kpiny i dla okrycia polityki Combesa śmiesznością.

Można sobie też wyobrazić, jaką minę musiał zrobić minister spraw zewnętrznych Delcassé, który do poparcia swych dyplomatycznych zabiegów otrzymał posiłek w takim nowym ministrze!...



Chaos francuski: Nowy minister wojny Maurycy Berteaux.

Wędrowne ptaki.

Nastaje zima. Ruch na wszystkich kolejach ogromny; niezwykłe ożywienie panuje na wszystkich dworcach od Oświęcimia aż hen po Kołomyję, a największy ruch, największy ścisk i wrzawa ogarniają pograniczne punkty; Oświęcim, Szczakowę i Dziedzice, kędy przewijają się setki i tysiące wieśniaczego ludu, mężczyźni, kobiety, młodzi chłopcy i dziewuchy, powracający z „Saksów“ pod rodzinną strzechę.

To nasze wędrowne ptactwo znane pod nazwą „obieżysasów“, spieszy do ojczystych zagród.

Dźwięki mazurskiej mowy mieszają się ze śpiewnym językiem małoruskim; wesołe tony harmonijki, której wtóruje płaczliwy głos „sopiłki“ (fujarki) z okolic Sokala, urozmaicają tę wrzawę, i szmer rozmów, a na twarzach tych wędrownych ptaków widać radość z powrotu do macierzystej ziemi, zadowolenie, że nie z pustemi wracają rękoma.

Każdy robotnik mężczyzna wiezie do domu, oprócz gościńców dla rodziny i całkiem nowej pruskiej przyodziewy, 120 do 150 marek; kobiety zaś i młodzież 80 do 100 co w koronowej naszej walucie przedstawia o wiele pokaźniejszą cyfrę.

A wychodźców odrazu poznać można. Każdy ma grzbiecie na porządny tużurek, każdy strojny jest w okrągłą pruską czapicę i w klasyczny szwabski półkoszulek, wyszywany paciorkami w różne esy i floresy, ozdobiony patryotycznymi napisami jak n. p. „Deutschland, Deutschland über alles“ itp.

Niemcom niedość jest wtłaczać najgorszą tandetę polskiemu robotnikowi, oni chcą jeszcze ukradkiem kolportować swój patryotyzm i nie wiedzą, że gdyby ten biedny chłopek wiedział, jaki napis nosi na swej piersi to zamiast marką, pięścią poczęstowałby przekupnia, który go tak ustroił.

A kobiety wracające ze „Saksów“ po-



Chaos francuski: Minister spraw zewn. Delcassé.

znać po nieodstępnem blaszanem wiaderku, emaliowanym na niebiesko i po zawiniątku w krasnej chustce, w którem kryją się stare „łachy“ zabrane z domu na wiosnę.

Cały ten tłum snuje się na dworcu zmienia pruskie marki na austryackie korony, wyrabia sobie o 50% tańsze bilety jazdy, które w swej naiwności zowie „freikartami“ i zniecierpliwością czeka na sygnał do odjazdu.

Rozbrzmiewa dzwonek portyera. Wychodźcy tłoczą się do pociągów, słychać gwizd lokomotywy i nagle życie zamiera na pogranicznym dworcu, ale za parę godzin brzmią od okrzyków powitania inne dworce w głębi kraju...

Wesoły to obrazek, lecz jakże odmiennym jest on na wiosnę!..

Na dworcach granicznych przewija się także tysiące „obieżysasów“, ale milczących, smutnych, z piętnem przebytej nędzy na twarzy, wynędzniałych, podobnych do syberyjskich skazańców.

Nie słychać rozmów wesołych, nie słychać tonów harmonijek i sopiłek, nikt nie liczy pieniędzy, nikt nie stara się o frajkarty.

Z radością na twarzy zacierają tylko ręce towarzyszący tym grupom ajenci, którzy mają obfite żniwo w prowizyi za dostarczony żywy towar i pracę zarówno od robotników, jak i od pruskich Izb rolniczych.

A cały ruch skierowany jest na Mysłowice, gdzie berlińska Izba rolnicza urządziła biuro pośrednictwa pracy, rodzaj giełdy dla „obieżysasów“, których dostarczają ajenci pobierający za każdego robotnika wynagrodzenia od 4 do 10 marek.

Tu zdają oni swój towar i natychmiast ruszają po świeży transport.

Ten wiosenny obraz jest bardzo, bardzo smutny i nasz rząd krajowy powinien dołożyć starań, aby znaleźć dla ludu polskiego robotę w kraju i osłonić go przed wyzyskiem takich ajentów.



Wędrowne ptaki: Biuro pośrednictwa pracy berlińskiej Izby rolniczej w Mysłowicach.

Wiarołomna żona.

WSPOŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

9 (Ciąg dalszy).

— Ej; ktoby tam o tem myślał. Mnie to pan Bóg policzy, boś paniczu niewinny, ja to wiem, mnie sumienie tak mówi, Bertold na to przysięga.

Ryszard uchwycił szorstką rękę dozorcy i ucałował ją z uczuciem synowskiem. Wawrzyniec zawstydził się, łzy mu pociekły z oczu.

— Paniczu, panie baronie, gdzież znowu? jakże można? ja człek prosty, ej, po cóż to? A to przecież wszystko z woli Bożej i nic bez niej. Nie trzeba. No, szczęść Boże!

I Wawrzyniec przycisnął panicza do piersi i uściskał go po ojcowsku, potem zamknął kaźnię i czuwał w korytarzach.

Ryszard padł na kolana, modlił się gorąco i pełen otuchy zabrał się do piłowania kajdan. Stalowe piłki służyły wybornie. Już mógł był odłożyć kajdany i swobodnie zabrać się do piłowania kraty, gdy usłyszał brzęk kluczy i ciężkie stąpanie na korytarzu. W mgnieniu oka schował narzędzia pod siennik, kajdany ułożył tak, by nie było widać przerwanego miejsca i ułożył się na tapczanie. Drzwi otworzono, inspektor więźni rozglądał się bystro po kaźni. Ryszard udawał zbudzonego ze snu, inspektor badawczo wpatrywał się w niego, ale spotkał się z twarzą spokojną, zmęczoną, zbolałą, ze wzrokiem łzawym, sennym i wyszedł.

Owe szepty baronowej tak się nie podobały inspektorowi, takie w nim budziły podejrzenia, iż dokonać postanowił niespodziewanej inspekcyi.

A dziwne to, że instynkt zachowawczy życia taki potężny, iż nawet natura najbardziej szczera, najbardziej szlachetna i najbardziej dumna i silna, przecież zdoła zaprzeć się samej siebie i przybrać takie pozory, które jej najpotrzebniejsze, by życie osłonić przed śmiertelnym ciosem. I dlatego to Ryszard bez rozmysłu, bez rachuby, na widok niebezpieczeństwa zaparł się samego siebie i udał spokój, senność, rozpaczliwą bezwładność.

Po chwili znowu się drzwi otwarły, ale tym razem wszedł Wawrzyniec, uśmiechnięty, rozweselony, że sprawa się ukryła i rzekł:

— Paniczu, spiesz się panie baronie. Już niedługo nadjadą Bertold z panną Hanią i będą z powozem czekali pod oknem. Deszcz kropi, to żołnierz schowa się do budki i nie zobaczy nic. A będzie miał poczęstunek dobry, to mu się nie będzie chciało z budy wyleźć. Inspektor poszedł, już teraz spokojnie będzie. A to mu się figla spłatało! To już wola Boska w tem była. On coś posłyszał, jak pani baronowa do ucha paniczowi szeptała, bo nawet do mnie powiedział: „Coś mi to podejrzane; czy to nie zmowa jaka. Trzeba pilnie dozierać kaźni". Ale już poszedł, już się tu nie pokaże, ja wiem, No, do roboty! Szczęść Boże!

I znowu się pożegnali. Wawrzyniec drzwi zamknął i czuwał na korytarzach.

Tymczasem w Adlersfeld ostatnie już czyniono przygotowania. Powóz stał zaprzężony, Hania zawiesiła na szyi, pod suknią woreczek z paczką banknotów, jeszcze jedno westchnienie do Boga, jeszcze jedno pożegnanie wzrokiem ze ścianami domu i z każdym sprzętem, z każdą pamiątką i obie z baronową wsiadły do powozu, a Bertold wskoczył na kozioł, zamiast stangreta.

Już było późno wieczorem, gdy zajechali przed probostwo. Baronowa wysiadła — a powóz potoczył się dalej z Hanią i Bertoldem.

— Boże błogosław! westchnęła baronowa, ścigając wzrokiem w ciemnicy odjeżdżający powóz — Boże! zlituj się — szeptała, nadsłuchując turkotu. Już i turkot ucichł i cisza była dokoła — a matka Ryszarda słyszała tylko bicie własnego serca.

Z modlitwą w sercu weszła na plebanię, a Bertold pędził kłusem do miasta. Już się zbliżają, już wjeżdżają w ulicę, już ich witają płomienie gazowych latarni; coraz większy lęk ogarnia Hanię, coraz goręteze jej westchnienia do Boga, coraz bardziej wysila się Bertold na spokój i rezygnacyę. Skręcają w ulicę pustą, odludną, już widać mury więzienne, Bertold zwalnia, jedzie już tylko truchtem, a ostrożnie i wstrzymał konie i jedzie stępa, a rzuca okiem na prawo i na lewo. Spojrzał do góry liczy okna. Tak, dobrze, trzecie okno od końca, tak mu powiedział Wawrzyniec. Stanął. Z poza węgła wysunęła się głowa Wawrzyńca, który tu czekał o umówionej godzinie. Poznał Bertolda na koźle i skinął. Hania drżała w powozie i przeżyła w kilku minutach całe niebo ma... radosnych, słonecznych nadziei i piekło najczarniejszych myśli, zwątpień i niepokojów.

Do kaźni wszedł Wawrzyniec.

— Już, prędko, Boże prowadź. Czekają. Zamknął kaźnię, a Ryszard zaczepił sznurową drabinkę o część zostawionej w oknie kraty, spuścił drabinę prędko i w mgnieniu oka stanął obok powozu. Już wsiada, gdy nagle w oknie opuszczonej przez Ryszarda celi ukazało się światło, przez wyłamane kraty wychyliła się na ulicę głowa inspektora więzień i rozległ się głos jego:

— Trzymaj, strzelaj!

Wyskoczył żołnierz z budki strażniczej i zmierzył się do Ryszarda. Ryszard wskoczył przed strzałem do powozu — Bertold zaciął konie i pędem odjechali. Padał strzał za strzałem, ale ich żaden nie dosięgnął.

Na probostwie wyczekuje baronowa wyroku życia lub śmierci. Minuty wloką się dla niej, jak długie, ponure godziny. Stary pleban, człek zacny, przyjaciel wierny, pociesza, pokrzepia. Już i północ wybiła na kościelnej wieży. Cała wieś we śnie pogrążona — nawet psy odszczekały wieczorne ujadania i cicho przysiadły w budach.

— Teraz czas, chodźmy do kościoła — rzekł proboszcz do baronowej.

Wyszli. Kościelny Tobiasz czekał już pod kościołem z kluczami. Otwarły się kościelne podwoje, przed ołtarzem zapalił Tobiasz świece. Uklękli wszystko troje i cichą, rzewną szeptają modlitwę.

Baronowa przerywa wciąż modlitwę i wciąż nadsłuchuje. Jakie tam myśli, jakie uczucia kłębią się w duszy biednej matki! A może go ujęto! A może i Hanię pochwycono do więzienia! Już tak późno — a ich jeszcze nie ma!

Tobiasz wysunął się przed kościół i słucha. Jadą! Wpada do kościoła i daje znak. Baronowa biegnie do drzwi, turkot coraz wyraźniejszy, coraz bliższy, już słychać parskanie koni, już poznać Bertolda na koźle.

— Boże! ocaleni! zawołała baronowa.

Przed kościołem osadził Bertold spienione konie na miejscu.

Wyskoczył Ryszard z powozu i zanurzył się w uściskach matki. Gorące, ale krótkie było to powitanie, bo Ryszard wycałowawszy ręce matki, rzekł niespokojnie:

— Spieszmy się, ścigają nas.

Pospieszono przed ołtarz. Ryszard ukląkł z Hanią na ślubnym kobiercu. Z więzienia przed ślubny ołtarz; z największej rozpaczy do najwyższego szczęścia przeszedł tak prędko, tak niespodziewanie. Boże! Jakiś Ty wielki! Boże! jakiś Ty miłosierny! powtarzał w duszy Ryszard — a kapłan wiązał go ślubem małżeńskim z ukochaną. I zaledwie ostatni powiedział „Amen„ — wpadł do kościoła przerażony Bertold:

— Słychać pęd koni, ścigają nas, już dopadają do wsi.

— Gasić światło, krzyknął proboszcz. Bądźcie spokojni. Zostańcie tu. Tobiasz! zamknij kościół. Módlcie się Bóg czuwa!

To rzekłszy, wypadł sędziwy proboszcz z kościoła, i kazał Bertoldowi czemprędzej jechać prosto przed siebie.

— Dopadnij lasu i tam się zatrzymaj nad jeziorkiem, zawołał i poszedł na plebanią.

Gromadę, w kościele zamkniętą, ogarnęła trwoga śmiertelna. Jeżeli pogoń każe kościół otworzyć i tu ich zastanie? Hania tłumiła bicie własnego serca, bo jej się zdało, że bije tak głośno, iż zdradzi ich ukrycie. Pęd koni coraz wyraźniejszy, coraz bliższy. Słychać szczęk szabel. Już dopadli kościoła. Ozwała się komenda:

— Stanąć! stój!

Gromadka zamkniętych zadrżała, jakby już cios śmiertelny godził w jej życie.

— Zbieg się schronił do kościoła, rzekł jeden z żandarmów.

— Ale którędyżby tu się dostał — rzekł drugi.

— Z koni! zabrzmiała komenda.

— Boże! Boże! westchnęli zamknięci w kościele i tulili się do siebie.

— Tędy przyjeżdżał powóz, znać ślady kół. Tu się też musiał zatrzymać, bo ziemia zryta kopytami — mówili żandarmi.

— Zajrzyjcie do kościoła – rozkazał komendant.

Żołnierze chwytali za klamki, nadsłuchiwali, wypierali drzwi, aż jeden z nich zawołał:

— My się tu zabawiamy, a zbieg ucieka dalej. Patrzcie — oto dalszy ślad kół. Pędźmy za śladem, bo nam więzień ucieknie — zawołał komendant żandarmów. Na koń!

Popędzili.

Tobiasz wyszedł na kościelną wieżę i patrzał na drogę, którą pognali. Potem zeszedł z wieży, wysunął się z kościoła, rozciągnął się na ziemi, przyłożył do niej ucho. Wstał i wrócił do kościoła.

— Chodźcie państwo — rzekł. — Już są daleko, bardzo daleko. Zostać tu nie można, bo oni pewnie wrócą, skoro zbiega nie schwycą i będą pewnie przetrząsali kościół. Chodźcie państwo do mnie. Mam ja schowek dobry, mam lamus taki, żeby tam i sam dyabeł nikogo nie znalazł.

Zmówiwszy dziękczynną modlitwę, wyszli z kościoła, Tobiasz go zamknął i zaprowadził Ryszarda z Hanią do swego mieszkania, a baronowa udała się na plebanię.

Wkrótce potem znowu słychać było tętent koni, znowu brzęk szabel. W mieszkaniu Tobiasza pogaszone były światła, Ryszard z Hanią, ukryci w lamusie, ponownie truchleli wzajemnie o siebie.

Oddział konnych żandarmów zatrzymał się przed mieszkaniem kościelnego. Zsiedli z koni. Komendant zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Zapukał silniej, niecierpliwiej. Ale i teraz drzwi nie otwierano. Zaczął dobijać się głośno.

— Kto tam, odezwał się głos, jakby zaspanego Tobiasza.

— Otworzyć w imieniu prawa, zawołał żandarm.

— Zaraz, zaraz — słychać było za drzwiami, tylko się przez okno popatrzę, bo to czasem rozmaicie bywa.

I otwarło się okienko, a w nim ukazał się Tobiasz rozebrany, jakby wstał z pościeli.

— Czego chcecie odemnie? Tu nie złodziejska nora, tu mieszkam ja, stary Tobiasz, kościelny.

— Właśnie ciebie szukamy stary, rzekł komendant. Wyłaź prędko i otwórz kościół.

— Kościół? co? otwierać, teraz, w nocy? Hę? co mówicie? Skaranie Boskie. W nocy do kościoła! Po co?

— Nie marudź, prędko! Taki rozkaz ze sądu.

— Święty Boże! Co się to dzieje? — mruczał Tobiasz, zamknął okno i zarzuciwszy płaszcz na siebie, wyszedł do żandarmów.

Otworzył kościół. Żandarmi szukali wszędzie. W ławkach, poza ołtarzem, na chórze, na wieży. Daremnie.

— Nie widział tu stary jakiego przejeżdżającego powozu? pytał komendant.

— A jechał tu ktoś, ale to już kilka godzin temu. Jechał. Ale tędy, przez naszą wieś przejazdy częste, przecież my na głównym gościńcu. Zdaje mi się, że widziałem jakiś powóz. Stanął przed kościołem, potem za chwilkę skręcili w bok z gościńca i pojechali ku lasowi. To pewnie jacy goście do pana leśniczego, bo tam często jeżdżą.

— Przecież my właśnie wracamy z lasu, bośmy tam pędzili za śladem kół — ale ślad nagle zniknął w lesie.

— A do którego to lasu panowie zaglądali? pytał Tobiasz naiwnie.

— A no do tego, co się jedzie wprost do kościoła — odpowiedział żandarm.

— Ba! tak! to nic dziwnego. Tam jechała fura po drzewo, a ów powóz to pewnie skręcił, ot tam z gościńca na lewo. Przecież to panie mamy lasy po obu krańcach wsi. A toście panowie pojechali źle, bo prosto zamiast na lewo.

— Na koń! — zabrzmiała komenda i żandarmi popędzili galopem,

Tobiasz wrócił do domu, uśmiechał się wesoło i poszedł do lamusu.

— A to mi się udało! — rzekł do Ryszarda i Hani — zapędziłem ich w przeciwną stronę. Będą się tam długo rozbijali po nocy, zanim znajdą leśniczówkę.

— Ale leśniczy dozna przykrości — będą mu dom przetrząsali — rzekła Hania.

— Ej, nie szkodzi. To zły człowiek. Dość on się nadokucza biednym ludziom. Ale teraz moi państwo zbierajcie się i chodźmy prędko na probostwo, bo czas, czas wielki. Dyabeł nie śpi; a nużby im się też wrócić zachciało? Hę? Dyabeł nie spi. Prędko w drogę.

Poszli na probostwo. Tam wszyscy siedzieli po ciemku i wyczekiwali, rychło minie niebezpieczeństwo. Gdy Tobiasz opowiedział wszystko, uradował się proboszcz.

Bogu najwyższemu chwała na wieki! zawołał. Już ocalenie wasze blizkie — a teraz do roboty. Tu masz kochany Ryszardzie paszport na imię barona Steinsfels. Widzisz pomagam do kłamstwa, ja, kapłan. Boże wybacz! Wierzę w twoję niewinność panie Ryszardzie, więc całem sercem pomagam wam dzieci do ucieczki, bo tem nie tylko was ocalam, ale ochraniam też sędziów od popełnienia niesprawiedliwości. A teraz niech was Bóg błogosławi! Pożegnajcie się z matką — ja was poprowadzę na bezpieczne miejsce.

Już nie łzami, ale krwią serdeczną zapłakała baronowa, żegnając dzieci. Zostaje sama! a dzieci? na tułactwie — może na zawsze wygnane z wła-

snej ziemi. I krwawy był płacz syna tułacza i biednej Hani, której za ojcem opuszczonym targało się serce.

Ostatnie jeszcze uściśnienia, ostatnie błogosławieństwo macierzyńskie i poszli z sędziwym proboszczem, który ich powiódł do lasu, nad jeziorko, gdzie Bertold czekał i popasał konie.

Wsiedli do powozu. Konie raźno ruszyły z miejsca; jeszcze przed wschodem słońca byli zagranicami księstwa. Bertold wrócił inną drogą, a Ryszarda i Hanię uniósł pociąg drogi żelaznej do portowego miasta.

Znalazł swój swego.

— Niechże mi pan marszałek wierzy, iż mówię prawdę. A toćbym przecież nie ukrywała, gdybym wiedziała, bo i pocóż? Jak pani wtedy odjechała z panem marszałkiem i panną hrabianką, tak już od tego czasu nie pokazała się w domu.

— A gdy książę następca tronu przyszedł się pytać o twoją panią, to cóż powiedziałaś?

— Cóżby innego? Jużcić toż samo, że nie wiem, gdzie się pani podziała.

— Hm! hm! to dziwne, gdzie się twoja pani podziała. Dziwne. A może wyjechała do krewnych?

— Gdzieżby też. Toćby przecie zabrała z sobą jakie ubrania. Byłaby mi też powiedziała. Cóżby to był za sekret, gdyby do krewnych chciała pojechać? Ja nawet nie słyszałam, żeby pani krewnych miała.

Rozgadała się Rózia, a marszałek widać nie był rad z tego, bo mu się oczy świeciły chytrością i zadowoleniem. Jakże nie być zadowolonym, skoro już na pewne poznał z tej rozmowy, że nikt nie wie, gdzie Klara przebywa.

— To dla mnie wielkie zmartwienie — mówił chytrze Wurm — że pani twej nie ma. Bo to widzisz, ja chciałem jej prosić o list, który książę do niej pisał; list to bardzo ważny i dopóki jest u pani Sternegg, książę nie da mi spokoju, bo chciałby go mieć u siebie, żeby twoja pani nie doznała jakiej przykrości, gdyby go kto u niej znalazł. A gdybyś też poszukała tego listu?

— A czyż ja wiem o jakim liście?

— No, no, możebyś go i znalazła, gdybyś poszukała. A za to byłby piękny prezencik.

— Ej cóż znowu; czy ja to taka, żeby za prezenty co robić — odpowiedziała Rózia, udając oburzenie.

— Dajno spokój tym komedyom dziewczyno. Już ty wiesz dobrze o czem mówię i list znajdziesz, gdy ci dobrze zapłacę. Namyśl no się prędko, list wyszukaj i przygotuj. Ja tu jeszcze przyjdę...

Marszałek wyszedł, dziewczyna się zaśmiała i podskoczyła radośnie.

— Jak to dobrze, żem ten list schowała! pomyślała sobie — będzie za niego dobry okup; tylko się trzymać. Ale naprawdę, co się też dzieje z panią? Czy też marszałek naprawdę, nic nie wie, czy też tylko udaje?

Nie długo miała czas rozmyślać nad tem, bo zadzwoniono do drzwi. Otworzyła. We drzwiach zjawił się człek wstrętny, zuchwały, ubrany świeżo, czysto, nawet bogato, ale niezgrabnie i bez smaku.

— Czego? — spytała szorstko Rózia, widząc zuchwałego prostaka.

— Róziu, siostruniu, duszyczko — co ci się dzieje? tak to witasz swego brata jedynaka?

— O rety! to Ludwik! Co ty tu robisz? A chodźże. A toż cię nie widziałam kilka lat.

— A no, jużcić, bo mnie trzymali w ulu. Alem wyszedł prościutki, widzisz.

— A u matki byłeś? co? Wiesz, że pani Kronberg zamordowana. Nie wiem co będzie z matką.

— Uhm, uhm, — mruczał Ludwik — jużci. Byłem u matki, byłem, no jakżeby nie. Ale co tam te baje. Jeszcze na to czas. Teraz gadaj no Róziu, czy twoja pani w domu?

— A na cóż tobie moja pani?

— No, no, coś taka ciekawa. Mam interes i tyle.

— Jaki interes? Skądże ją znasz?

— Co ci po tem. Znam i tyle, znam a interes pilny.

— Kiedy nie chcesz powiedzieć, to i ja ci nie powiem.

— A to się obejdzie, bo ja sam pójdę i zobaczę w mieszkaniu.

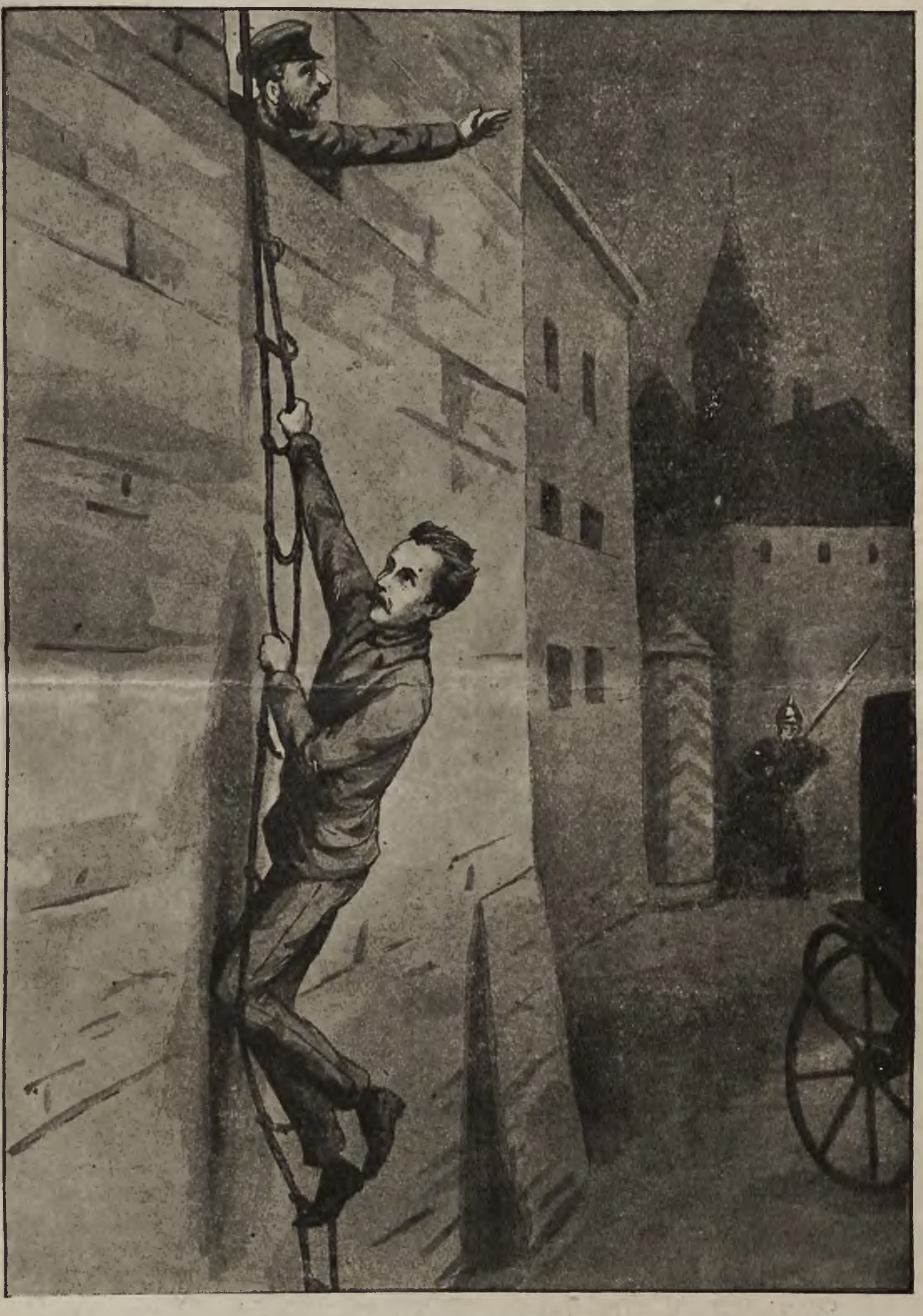
— Dajże spokój Ludwiku. Ot, widzisz — mojej pani nie ma, od dwóch dni jej nie ma. Jak pojechała na zamek, tak i nie wróciła i nikt o niej nic nie wie.

— A bodajto dyabli wzięli taką robotę. Ja nie mam czasu czekać. Dwa dni temu zapowiedziałem jej, aby mi dała znać przez ciebie, czy to zrobi, co jej kazałem. Nie dała mi znać, więc przyszedłem się dowiedzieć.

— Co też ty pleciesz Ludwik? Cóż ty możesz rozkazywać mojej pani? Ty chyba niedobrze masz w głowie.

— Głupiaś baba i tyle: nic nie rozumiesz. Ta twoja pani, to mogłaby pójść zaraz do ula, gdybym tylko zechciał.

— Co ty mówisz?



...i rozległ się głos jego: Trzymaj. strzelaj!

— A mówię, bo tak jest. Zaprowadźże mnie do salonu, skoro pani nie ma, bo mnie nogi bolą.

— Jeszcze czego! do salonu! Chodź do mojej izdebki.

— Hi, hi, hi — a bo mi to dziwne siadywać po takich dziurach. Ja sobie chcę w salonie siedzieć i tyle.

I nie czekając odpowiedzi, rozwarł drzwi salonu i rozłożył się na jednej z kanap. Rózia nie zdołała go wyprowadzić, została z nim i słuchała z największym zajęciem opowiadań o całej owej historyi teatralnej.

Ludwik wreszcie rozciągnął się jeszcze lepiej na kanapie, ziewnął i zaczął pogwizdywać.

— A co siostrzyczko, jedynaczko? hę? rzekł potem — dobra nasza? co? będą grosze z tego? co? Rózia milczała zamyślona.

— Czemuż nie gadasz? cóż to za baba nie gadająca z ciebie? Hej, Rózia, cóż ty na to?

— Ja rozmyślam teraz nad tem, coby zrobić? Ty ją masz w ręce, ale i ja także.

— Ty także? jak?

— Mam list, który do niej napisał młody książę, jak ją wzywał na schadzkę, gdzie to potem Sternegg rzucił się na starego księcia. Ej, list to pyszny.

— Ba, cóż z tego wszystkiego, kiedy jej nie ma.

— To niedługo tego będzie. Bo to widzisz, mnie się zdaje, że ją ukryli gdzieś przed księciem, ale książę ją znajdzie, gdyby ją nawet pod ziemię schowali.

— Ba, ale mnie pilno. Niech się z babą dzieje co chce, to mi całkiem obojętne, bylebym ją zobaczył na chwilę i pieniędzy z niej wydusił, ile tylko będzie można.

— Zdaje mi się, że na to poradzę, a Łukasz nam pomoże.

— Cóż to za pan, ten pan Łukasz.

— To kamerdyner młodego księcia; książę ufa mu zupełnie, ale on mądry i niby pokorne cielę dwie matki ssie. Książę mu płaci hojnie, aby o wszystkiem milczał, a hrabianka Landesberg płaci mu za to, że przed nią księcia zdradza i o wszystkiem jej donosi.

— A skądże ty wiesz o tem wszystkim?

— Jakże nie mam wiedzieć, skoro Łukasz zaleca się do mnie i mamy się kiedyś pobrać.

— Szwagierek! Jak Boga kocham! dobra rzecz! Szwagierek. On mi się jeszcze na co przyda — wrzasnął Ludwik i zaśmiał się cynicznie.

— Byłoby lepiej, żebyś nam się nie pokazywał.

— A to czemu?

— Nigdy mu nie mówiłam o tobie; nie wie, że mam brata i zdziwiłby się bardzo i mógłby sobie rozmaicie myśleć.

— A czy ja to na dziada wyglądam? Cóż? powiedz mu, że byłem w Ameryce, więc nie wiedziałaś, co się ze mną dzieje, a myślałaś nawet, żem umarł i że dopiero teraz wróciłem, wzbogaciwszy się na handlu. Rozumiesz? tak mu powiedz, a ja ci udam sztukę i będę na bogacza wyglądał.

Wstał, wyciągnął się, ziewnął i zaczął rozglądać się po salonie.

— A, tu bardzo pięknie. Fiu! fiu! Znać zaraz, że to nie zwykły hrabia posprawiał, tylko książę. A co to tam za ową firanką?

I nie czekając odpowiedzi, wszedł — rozsunąwszy portyery do buduaru Klary. Rózia pobiegła za bratem, wołając:

— Co robisz? po co tam idziesz? daj spokój. Jakby też ona wróciła niespodzianie?

— Ej, co tam. Przecież ja tu nic złego nie zrobię, tylko zobaczę, coby sobie wziąć na zadatek mojej zapłaty.

Nie rób głupstw! Mogłoby z tego wypaść jakie nieszczęście. Wszystko to spisane w rejestrach, wszystko pokupował książę. Niechby czego brakło, to jabym za to odpowiadała.

Ludwik nie zważał na to, jeno rozglądał się i przyglądał, aż dopatrzył szkatuły z precyozyami. Zaczął się im chciwie przypatrywać, jakby ich wartość oceniał. Najbardziej spodobał mu się długi, ciężki łańcuch złoty, służący do przepasania zegarka. Ważył go w ręce, oglądał do światła, podrzucał na dłoni, a wreszcie schował do kieszeni.

— Oddaj, krzyknęła Rózia. — Głupie takie żarty.

— Porządni ludzie nie znają żartów w sprawach pieniężnych. Nie żartuję, tylko biorę sobie na zadatek, lub tytułem zastawu, słowem na częściowe zabezpieczenie pretensyi, którą mam do pani Sternegg, byłej artystki dramatycznej, byłej kochanki hrabiego, byłej pocieszycielki rozmaitych wielbicieli teatru, byłej żony Sternegga, a obecnej... powiernicy księcia. Mówię ci stylem urzędowym, jakbym był co najmniej woźnym trybunału, a ty czego tak się gapisz? co? nierozumiesz nic z tego?

— Oddaj łańcuch. Ja nie myślę pokutować za ciebie. Oddaj!

Rzuciła się na brata, chciała mu wyrwać z kieszeni zabrany łańcuch, ale Ludwik odtrącił ją silnie i zacisnąwszy pięści, zgrzytnął zębami:

— Dziewczyno! odczep się, nie wiesz z kim sprawa.

Zadzwoniono. Rózia wybiegła do przedpokoju przerażona, myśląc, że Klara wróciła niespodzianie. Ludwik przeszedł prędko do izdebki siostry W przedpokoju zjawił się Łukasz. C. d. n.



Trzydziestolecie kuchni ludowej: Jakób Stroh radca ces. i założyciel kuchni ludowej.

Japończyk, czy Polak?

Zwycięsca z nad rzeki Jalu, bohater z pod Laojanu i Jantaju, ten japoński jenerał Kuroki, którego nazwisko grozą i przestrachem przejmuje rosyjskie szeregi. wódz, co w obecnej wojnie na dalekim Wschodzie zdobył pierwsze i nie małe wawrzyny dla japońskiego oręża, nas specyalnie interesuje najwięcej, a to z powodu wieści, jakie krążą o jego pochodzeniu.

Japończyk, czy Polak?

To jest pytanie, na które dotychczas nikt stanowczo nie odpowiedział. Pierwsza wieść o polskiem pochodzeniu japońskiego bohatera zrodziła się w pismach niemieckich i długi czas walczono o jej prawdziwość. Niektóre pisma polskie, a zwłaszcza galicyjskie dzienniki, wieść tę przyjęły z radością i starały się przynieść dowody, potwierdzające ją w zupełności. Inne znów wieść tę uważały za zwykły humbug i kruszyły kopie w obronie japońskiego pochodzenia Kurokiego, ale mimo tych pojedynków na słowa i artykułów mniejszego lub większego kalibru, dotychczas kwestyi tej nie wyświetlono jeszcze i nie ma pewnika, czy dzielny enerał armii marszałka Ojamy, którego skroń wieńczy już tyle wawrzynów, jest Japończykiem, czy Polakiem.

Otóż pisma, które chciały bohatera tego uznać za narodową polską własność, wywodzą pochodzenie jego od oficera wojsk polskich z roku 1831 Kurowskiego, który po ostatecznym upadku listopadowego powstania, emigrował najpierw do Turcyi, a następnie na wyspę Borneo, skąd wyjechał do Japonii i tu zmieniwszy nazwisko swe rodowe na „Kuroki“, ożenił się z Japonką i miał z nią syna, obecnego jenerała Kurokiego.

Według innej wersyi niejaki Tączanowski utrzymywał w Berlinie z pewną panną stosunek miłosny. Gdy stosunek ten miał zostać uwieńczony żywym owocem, a panna żądała, aby Taczanowski ratował ją od hańby i pojął za żonę, Taczanowski wymówił się od tego obowiązku i wydał ją za niejakiego Kurowskiego, skutkiem czego nielegalne dziecko otrzymało nazwisko „Kurowski“.

Młody Kurowski, kształcąc się w Berlinie, wszedł w ścisłe stosunki z przebywającymi tam na studyach Japończykami, a odczuwając całą dwuznaczność swego położenia, nakłoniony przez nowych przyjaciół z żółtej rasy, wyemigrował do Japonii i tam jako „Kuroki“ doszedł do wysokich godności i nowej swej ojczyźnie służy wiernie, odwdzięczając się za wszystko, co mu dała.

Nie myślimy roztrząsać prawdziwości obu tych wersyj, ale wolimy stanąć na stanowisku, że w każdej bajce jest część prawdy, my dlatego w czysto japońskie pochodzenie bohatera z nad Jalu nie wierzymy.

Wszak według fotograficznej podobizny jenerała Kurokiego i jego rodziny, trudno dopatrzyć się w rysach twarzy tego bohatera charakterystycznych cech żółtej rasy, tych skośnych oczu, tych wąskich brwi o dziwnym rysunku, spłaszczonego nosa i innych znamion japońskiego pochodzenia.

Trzydziestolecie kuchni ludowej.

Lwowska kuchnia ludowa, założona dla ubogich bez różnicy wyznania, obchodzi w tym roku 30-lecie swego istnienia. Przez trzydzieści lat zarząd tej bezsprzecznie najbardziej filantropijnej instytucyi we Lwowie, cicho i bez hałasu spełnia swoją misyę.

Na czele towarzystwa stoi radca cesarski Jakób Stroh, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze.

Nie ma we Lwowie dziecka, któreby nie znało tego mazwiska. Założyciel kuchni ludowej, taniej herbaciarni, fundator domu dla starców, domu dla wdów i t. d., był zawsze pionierem na polu filantropii. Hojną dłonią utworzył fundacyę dla biednych dziewcząt, którą uposarzył kwotą 80 tysięcy koron, a w parę lat później darował na bezpłatne mieszkania dla wdów piękną realność. Kuchnia ludowa — to jego dzieło. Przez 30 lat zwyż milion obiadów wydano w niej biednym, bez różnicy wyznania, za śmiesznie małą opłatą, a młodzieży szkół średnich i wyższych, zupełnie bezpłatnie. Działalność Jakóba Stroh zasługuje na obszerne omówienie — dziś, z okazyi 30-lecia kuchni ludowej, zaznaczamy tylko, że jej założyciel i prezes jest członkiem wszystkich prawie towarzystw dobroczynnych w mieście i prawdziwym dobroczyńcą.



† **Felicyan Milerowicz**: dyrektor m. Kasy Oszczędności w Stanisławowie.

Felicyan Milerowicz.

W Stanisławowie zmarł w dniu 15 b. m. Felicyan Milerowicz, naczelnik biur Kasy oszczędności tamtejszej, kapitan wojsk polskich w r. 1863, członek honorowy „Gwiazdy“, osobistość powszechnie znana w kraju i wysoko ceniona dla zalet osobistych. Był to człowiek gorącego serca i na szerszą skrojony miarę. Nie brakło go nigdy przy żadnej uczciwej narodowej pracy. Zapalał się łatwo, ale i umiał w danej chwili także w obowiązkach swoich wytrwać i zasadniczo bronić przyjętego stanowiska. Odznaczała go niezmierna ruchliwość i czynność. Wezwany do podjęcia jakiejś pracy publicznej, stawał karnie w szeregu, służąc jej zawsze wiernie radą i czynem, był też niezmiernie pożądanym i dodatnim czynnikiem we wszystkich stowarzyszeniach narodowych, komitetach i zgromadzeniach, umiał bowiem temperamentem swoim zapalić do dzieła innych i działać skutecznie tam, gdzie nie zawsze znachodzili się tej pracy chętni. Nie było w Stanisławowie Towarzystwa, którego ś. p. Milerowicz nie byłby członkiem. Należał wszędzie i w każdem pozostawił po sobie ślady swej pracowitej działalności. Pomiędzy innymi piastował także w stanisławowskiem Towarzystwie „Oświaty ludowej“, przez szereg lat, zaszczytną godność przewodniczącego, a publiczny głos obywateli stanisławowskich wskazywał częstokroć na ś. p. Milerowicza w trudnych chwilach życia obywatelskiego, jako na tego, który z kłopotliwych sytuacyj politycznych umiał znaleźć godne wyjście.

Ś. p. Felicyan Milerowicz rozpoczął zawód urzędniczy jako urzędnik podatkowy, kiedy jednak zabrzmiała trąbka powstańcza, wzywająca synów Ojczyzny do śmiertelnego boju z odwiecznym wrogiem, Milerowicz zrzucił bez namysłu czapkę z bączkiem i gniotący go mundur austryackiego urzędnika i stanął w szeregach powstańczych.

Po upadku powstania znalazł skromny kawałek chleba w fundacyi skarbkowskiej we Lwowie, w r. 1876 zaś objął stanowisko urzędnika rachunkowego w tutejszej miejskiej Kasie oszczędności, gdzie zdolnościami swojemi i pracowitością wybił się na stanowisko naczelnika biur tej instytucyi.

Przed trzema laty święcił ś. p. Milerowicz 25-lecie swojej działalności jako urzędnik Kasy oszczędności stanisławowskiej, a z tytułu tego obywatele tego miasta wręczyli mu adres, opatrzony tysiącem podpisów, wyrażający mu w najpochlebniejszych wyrazach cześć obywatelską.



Japończyk czy Polak?: Jenerał Kuroki w otoczeniu swej rodziny w Tokio.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Echa z pola bitwy. W Mandżuryi nastała już ostra zima; gruba warstwa śniegu pokryła pola, a mrozy tak dają się wojsku we znaki, że żołnierze przed nimi i przed wichrem przejmującym do szpiku kości, chronią się w ziemnych wykopach.

Lecz ten stan powietrza nie przeszkadza bynajmniej naczelnym wodzom obu armij myśleć o nowych bitwach, i kto wie, czy w chwili, gdy piszemy te słowa, nad rzeką Szacho nie rozlega się już groźny ryk armat, grzmot wystrzałów karabinowych, czy nie brzmią tam w powietrzu wojenne okrzyki „hurra"! i „banzaj".

Mówimy kto wie, bo według ostatnich depesz, jakie przysłał do Petersburga szef generalnego sztabu, jenerał-porucznik Sacharow, Japończycy znów podjęli pierwsi ofenzywę i zaatakowali pagórek Putiłowa, jedną z najsilniejszych rosyjskich pozycyi. Wprawdzie Sacharow donosi, że atak ten odparto, ale w każdym razie można go uważać za przygrywkę do walnej bitwy, tembardziej, że podobno — jak telegrafują angielscy korespondenci — jenerał Kuroki zaatakował wschodnie skrzydło armii rosyjskiej. Z tej depeszy widać, że pogłoski, szerzone przez pisma niemieckie o tem, jakoby jenerał Kuroki zachorował obłożnie na tyfus, są zupełnie bezpodstawne.



Z wojny ros.-jap.: Sąd wojenny bada schwytanych szpiegów japońskich, którzy zakradli się do Portu Artura celem zamordowania jenerała Stössla.



Z wojny ros.-jap.: Admirał Rożdżestwieński na ulicach miasta Tangeru.

Nadchodzą także wieści, że Japończycy nie tracili nadarmo czasu, którego Rosyanie zużyli na wypoczynek po ostatnich krwawych zapasach. Marszałek Oyama, zachowując zupełny spokój na froncie swych wojsk, zdołał jedną dywizyę posunąć wzdłuż rzeki Szacho naprzód tak, że dziś przednie straże japońskie znajdują się zaledwie o dziewiętnaście kilometrów od Mukdenu. Grozi to jenerałowi Kuropatkinowi odcięciem, a Japończykom zapewnia w przyszłym boju znaczne korzyści, bo zmusza armię rosyjską do walki na dwa fronty.

Wiadomość tę jednak, dotychczas niepotwierdzoną przez urzędowe źródła, należy przyjąć z wielką rezerwą, gdyż może ona być tylko płodem bujnej fantazyi korespondentów.

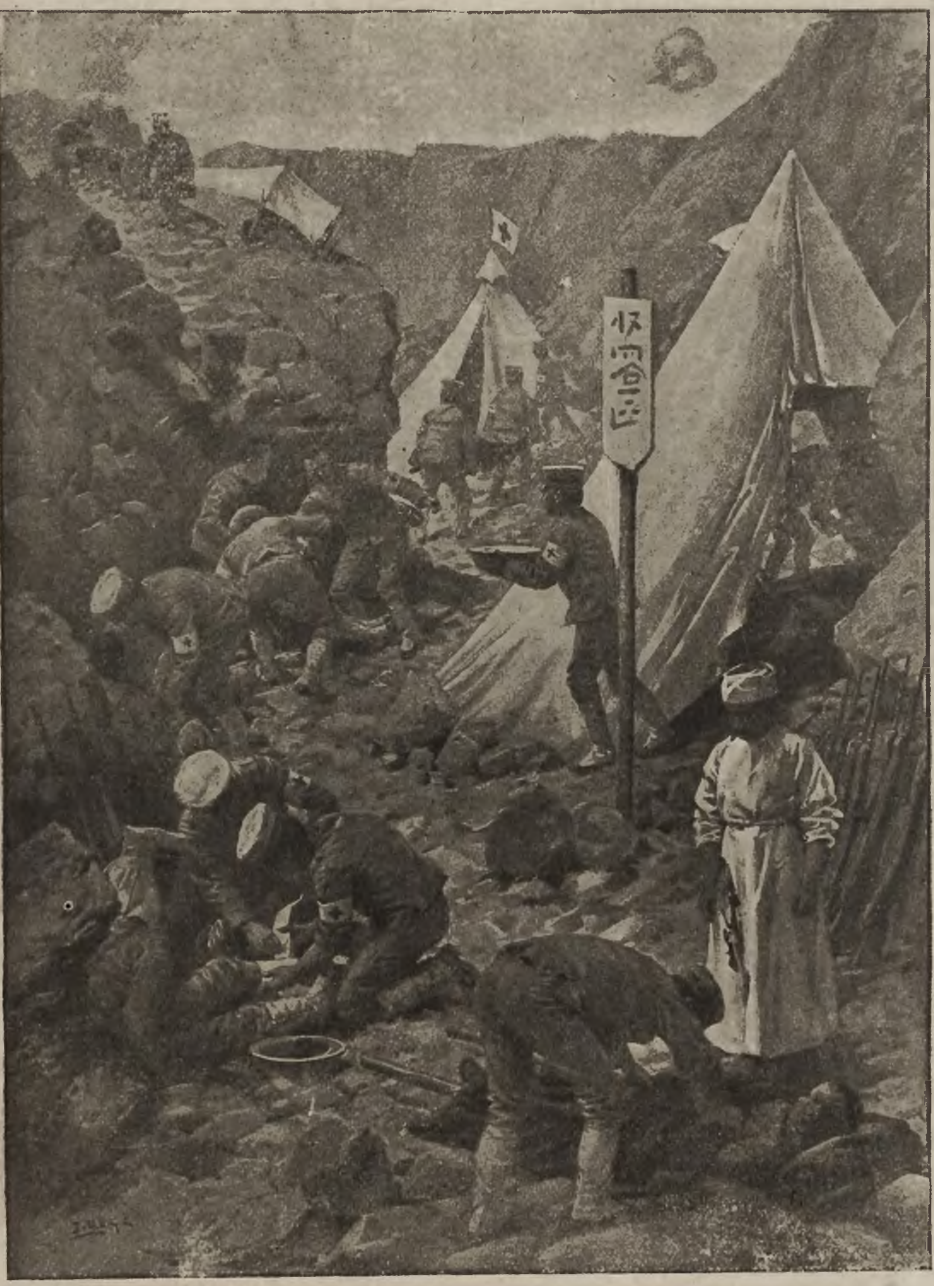
Pod Portem Artura. Pod twierdzą portarturską wrą wciąż zacięte walki. Japończycy, którzy obecnie zastosowali przy oblężeniu nawet wynalazki na polu areonautyki i z balonu „Captiv" śledzą pozycye fortów, będących jeszcze w rękach rosyjskich, aby nie tracić pocisków napróżno, odkryli położenie jednego z największych arsenałów fortecznych i zaraz otworzyli nań ogień. Dwieście granatów wyrzuciły działa japońskie na ten tak ważny punkt dla obrońców twierdzy i arsenał wyleciał w powietrze.

Położenie jenerała Stössla jest ciężkie. Nie lęka się on otwartego boju, nie trwoży go śmierć, owszem może nawet nikt tak, jak on, nie naraża swojego życia, czego najlepszym dowodem, że niedawno otrzymał ranę, co prawda lekką, ale w każdym razie ranę tego rodzaju, że komendę musiał zdać jenerałowi Fockowi, ale mimo to żyje w ustawicznej obawie, aby nie dokonano na nim skrytobójczego zamachu. Niedawno złapano w twierdzy pięciu szpiegów japońskich, którzy wprost przyznali się, że do twierdzy zakradli się tylko dlatego, aby zamordować naczelnego jej obrońcę.

Tę wieść, oraz cały szereg innych wiadomości oraz tajnych depesz, przywiózł do chińskiego portu z Czifu kontrtorpedowiec rosyjski „Roztropny", który zdołał wymknąć się z Portu Artura, podczas śnieżystej zamieci i dopiero, kiedy już przejechał linię blokujących przystań japońskich okrętów, został w końcu wtedy spostrzeżony i ścigany przez torpedowce japońskie. „Roztropny" zdołał jednak ujść przed pościgiem, zawinął szczęśliwie do Czifu i tu komendant statku, oddawszy konsulowi rosyjskiemu



Z wojny ros.-jap.: Japończycy obserwują z balonu „Captiv" pozycye fortów portarturskich.



Z wojny ros.-jap.: Ambulans polowy japoński podczas bitwy pod Jantajem.

depesze jenerała Stössla wysadził swój kontrtorpedowiec w powietrze.

Ta mała wycieczka „Roztropnego“ zdaniem wojskowych dowodzi, że blokada przystani portarturskiej, podjęta przez admirała Togo znacznie osłabła.

Co jest dowodem tego? Różni różnie sądzą. Jedni utrzymują, że niektóre okręty eskadry japońskiej odniosły znaczne uszkodzenia i musiały zawinąć do portów celem naprawy, drudzy przypuszczają, że blokada osłabła jedynie dlatego, iż część floty admirała Togo wyruszyła już na projektowane przyjęcie admirała Rożdżestwieńskiego i jego okrętów.

Abstrahując jednak to pytanie, nad którem bardzo poważnie zastanawiają się politycy wojenni, trzeba stwierdzić, że depesze, które „Roztropny“ przywiózł do Czifu, musiały być bardzo ważne, skoro jenerał Stössel nie wahał się poświęcić jednego torpedowca z tak ubogiej eskadry, jaką jest morska załoga Portu Artura. Z Petersburga nadchodzą już wieści, że w depeszach tych Stössel przedstawił jak najdokładniej położenie twierdzy i pytał, co ma czynić. Utrzymują też, że sztab jeneralny ministerstwa wojny przysłał mu rozkaz, aby w najgorszym razie zamknął się w fortach na niedostępnej górze Liaoteszanu i tam bronił się do upadłego.

Ale i to są wieści nieoficyalne, a zatem oparte więcej na domysłach i kombinacyach strategicznych, niż na rzeczywistej prawdzie.

Flota bałtycka. O flocie bałtyckiej cicho! Dzienniki, zajęte zatargiem angielsko-rosyjskim, który się w ostatnich dniach znów zaostrzył, co nawet może spowodować ustąpienie hr. Benkendorfa, posła rosyjskiego na dworze angielskim, o czem zresztą obszernie piszemy na innem miejscu, nie zwracają uwagi na dalszą podróż okrętów, powierzonych komendzie admirała Rożdżestwieńskiego. Mimo to wiemy, że flota bałtycka, po dłuższym wypoczynku w Tangerze, podczas którego admirał Rożdżestwieński w towarzystwie tamecznego konsula rosyjskiego i rządowej asysty kraju zwiedzał to miasto, wyruszyła w dalszą drogę i obecnie przepływa koło wybrzeży greckich.

Niewiadomo jeszcze jednak, jak zachowają się angielskie okręty, w grzeczny sposób eskortujące flotę bałtycką, wtedy gdy admirał Rożdżestwieński zechce przepłynąć kanał Suezki. Gdyby bowiem Anglia zezwoliła na ten przejazd przed ukończeniem sporu o katastrofę w Hull, okręty rosyjskie wymknęłyby się jej z rąk i wówczas musiałby się rząd Wielkiej Brytanii zadowolić takiem zadośćuczynieniem, jakieby Rosya jej zaproponowała, albo też pozostałaby jej ewentualność... ścigania wiatru w polu.

Swoją drogą, pisząc o ruchach floty bałtyckiej, musimy zwrócić uwagę, że i na dalekim Wschodzie nowy ruch zaczyna się wśród marynarki rosyjskiej. Wprawdzie eskadra portarturska jest prawie kompletnie zniszczona, wprawdzie władywostocka flota przez całą zimę skazana jest na bezczynność, gdyż lody trzymają ją w uwięzi, mimo to jednak widocznie przystań władywostocka ma zamiar rozpocząć jakąś akcyę i to na korzyść floty bałtyckiej, a raczej dla zajęcia uwagi i zaabsorbowania w tym punkcie morskich sił Japonii, gdyż admirał Skrydłow przybył do Władywostoku i objął dowództwo tamecznej eskadry, w miejsce tymczasowego komendanta kapitana Reitzensteina.

Na tym punkcie prasa oczekuje dopiero wiadomości i być może, że niebawem depesze z Władywostoku doniosą nam o nowych wypadkach na Żółtem morzu.

Pod Jantajem. Korespondent „Daily Mail“ w bardzo zajmującym i barwnie pisanym artykule, podaje szkic bitwy pod Jantajem. Z artykułu tego przytaczamy jeden ustęp:

...W powietrzu słychać świst kul, niby wiolinowe tony, któremu wtóruje głęboki bas detonacyi wybuchających granatów i szrapneli. Wzgórza, otaczające jantajskie kopalnie, okryły się fantazyjnym kwiatem armatniego dymu, u stóp tych wzgórz widać gromadki mrówek. To japońska piechota szturmuje do obronnych pozycyi rosyjskich.



Z wojny ros.-jap.: Admirał Skrydłow przebywający obecnie we Władywostoku.

Wśród tych gromadek mrówek kręcą się, niby większe jakieś owady, sanitarni żołnierze z noszami i zbierają rannych, z którymi dążą czemprędzej do polnego ambulansu, kryjącego się na tyłach rezerw, wśród skalnych rozpadlin i górskich załomów.

Poszedłem w to miejsce i straszny widok setek operacyi przedstawił się moim oczom.

Doprawdy, dziwię się lekarzom, na których widok tej krwi płynącej z ran, tych poszarpanych ciał ludzkich i głos nieludzkich jęków, zdają się nie robić wrażenia.

Podziwiałem ich obojętność, ale w większym stopniu wzbudził we mnie podziw ich pośpiech i delikatność, z jaką zakładają opatrunki, ta udana sztuczna wesołość, którą starają się podtrzymać ducha u rannych i wprost macierzyńska troskliwość wobec powierzonych ich pieczy.

I patrząc na to, pomyślałem sobie, czy nie szkoda tej młodzieży, tracącej życie zdala od ojczyzny, czy nie szkoda tej pracy lekarskiej, która podczas pokoju sto razy obfitsze owoce mogłaby przynieść ludzkości...“

Torpedowce i miny wodne. Tyle się teraz pisze i mówi z powodu walk na dalekim Wschodzie o torpedowcach, że nie od rzeczy będzie, jeśli podamy Czytelnikom bodaj pobieżny opis tych małych statków, które w bitwach morskich pełnią najważniejsze zadanie.

Torpedowce to najzaciętszy i najstraszniejszy wróg takich olbrzymów, jakiemi są pancerniki wojenne, uzbrojone w setki dział najrozmaitszego kalibru. Olbrzymiej wielkości granaty nie są im w stanie wyrządzić takiej szkody, jak jedna mała celnie wyrzucona torpeda, pocisk niewidoczny, zdążający pod powierzchnią wody do celu i jedynie jasną smugą znaczący swą drogę wśród rozkołysanych fal morskich.

Torpedowiec, to drobny, nader silnie zbudowany, chyży i obrotny nieduży statek, posiadający skromną załogę i kilka przyrządów do wyrzucania torped, zwanego w fachowym języku pod nazwą „lansowania“.

Torpeda, to pocisk o kształcie ryby, zaopa-



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Torpeda, w chwili wyrzucenia jej.

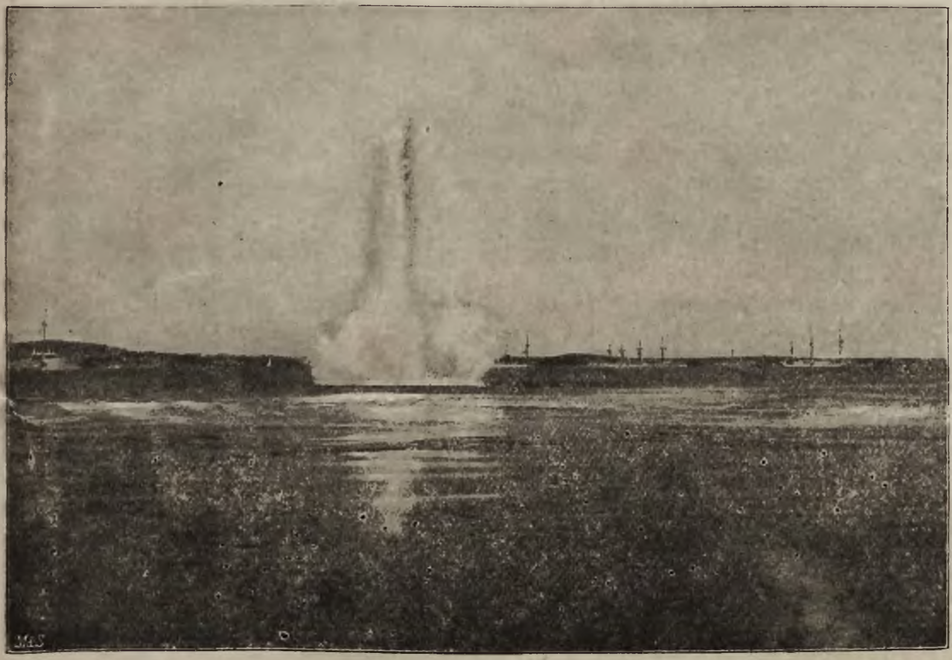
trzona na końcu sterowym wiatraczkiem, który pomaga jej do utrzymania kierunku. Wyrzucona z działa, zatapia się w wodzie i pod jej powierzchnią mknie żywo do celu. Uderzywszy w stalową płytę pancernika, natrafiwszy na opór, jak granat wybucha, a wybuch ten jest wprost straszny, bo rwie w kawały grubą stal, wierci w dnie statku dziurę i czyni go kompletnie niezdolnym do dalszej walki.

Straszny skutek i zniszczenie, jakie szerzą torpedy, widzieliśmy w samym początku wojny na dalekim Wschodzie, gdzie w pierwszym ataku torpedowców japońskich, eskadra portarturska poniosła tak ciężkie straty, że wartość jej i liczba zmniejszyła się prawie o połowę.

Straszniejszem jednak stokroć jest działanie min podwodnych, których ofiarą padł jeden z najwspanialszych okrętów rosyjskich „Petropawłosk“, który od wybuchu jednej takiej miny zatonął, pociągając z sobą na dno całą załogę wraz z admirałem Makarowem, jednym z najzdolniejszych wodzów rosyjskiej marynarki.

Miny takie, rzucone do wody, niczem niezdradzające swej obecności, zapalają się wówczas, gdy okręt nadjedzie na nie, a jak potężnym jest wybuch takiej miny, napełnionej zwykle ekrazytem, jako najbardziej eksplozywnym materyałem, to widać z załączonej ryciny.

Nie wdajemy się ani w szczegółowy opis przyrządów do lansowania, ani też w dokładny opis budowy torped, a to dla tego, że i te pociski i te działa sporządzone są według różnego typu i każde państwo szczegóły tych narzędzi śmierci otacza jak największą tajemnicą, aby w razie wojny wystąpić wobec wroga z niespodziankami. Sądzimy jednak, że z ilustracyi, jakie zamieszczamy, każdy może nabrać o tem wyobrażenia a bodaj o ogólnym ich wyglądzie i sposobie używania.



Z wojny ros.-jap.: Wybuch miny podwodnej.

Marynarka japońska. Wraz z wieścią o osłabieniu morskiej blokady pod Portem Artura nadeszła skrywana przez japoński sztab marynarki wiadomość o uszczerbkach, jakie poniosła flota japońska. Wspaniały krążownik „Fuji“, jeden z najlepszych i najnowszych statków, przebywa obecnie jeszcze w dokach, gdzie naprawiają uszkodzenia, jakie odniósł podczas pierwszej bitwy na wodach Morza Żółtego od rosyjskich pocisków.

Oprócz tego kilka okrętów różnego typu, wśród których przeważa liczba okrętów przewozowych, częścią padło ofiarą min podwodnych, częścią jeszcze od ostatniej nieudałej co prawda eskapady portarturskiej eskadry do Władywostoku, pozostaje na kuracyi chirurgicznej łatania dziur, jakie w nich porobiły rosyjskie armaty.

Nie dowodzi to jednak, aby flota japońska była w złym stanie, ani też, aby siły jej zmniejszyły się znacznie. Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą i trudno nawet przypuszczać, aby okręty japońskie, ktore brały udział w tylu bitwach, wyszły z nich bez żadnego szwanku. Z drugiej zaś strony donoszą z Tokio, że prace koło naprawy uszkodzonych okrętów są już na ukończeniu, oraz, że rząd japoński zakupił znów od fabrykantów angielskich kilka statków, tak pancernych jak liniowych.

Widać więc, że w działaniach Japończyków na morzu nastąpiła tylko chwilowa przerwa czy też osłabienie, ale nie stały jakiś upadek. Dziś chyba Japończycy wobec zbliżającej się floty bałtyckiej czują dobrze, że sytuacya ich na lądzie póty nie może być zagrożoną, póki są panami na morzu i że muszą dołożyć wszelkich starań, aby dalej utrzymać się na obecnem stanowisku, jeśli ich armia lądowa niema zostać odciętą od kraju.



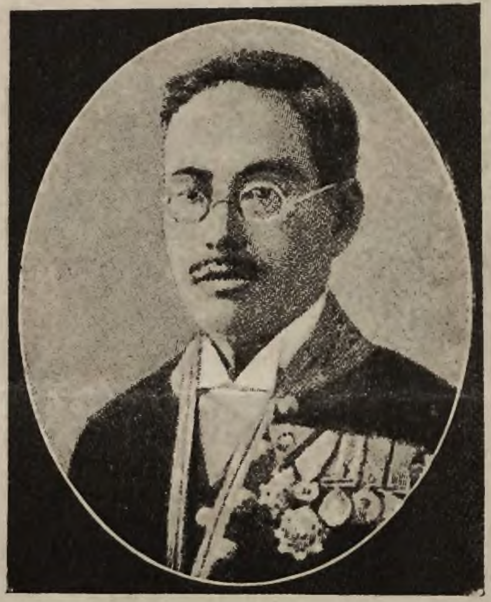
Z wojny ros.-jap.: Japoński krążownik „Fuji“, który został silnie uszkodzony w pierwszej bitwie morskiej pod Portem Artura.

Japoński proch. Straszne zniszczenie, jakie szerzą granaty japońskie, siła ich uderzenia i eksplozyi, oraz straszliwe rany, które otrzymują żołnierze ugodzeni ich ułomkami, zwróciły na siebie uwagę zarówno lekarzy rosyjskich, jak i wojskowych attaché, kontrolujących przebieg walk na dalekim Wschodzie ze strony różnych mocarstw.

Wszyscy godzili się na jedno, mianowicie uznali, że Japończycy przy wyrabianiu swych granatów nie używają zwykłego prochu, ale posługują się innym jakimś, dotychczas nieznanym preparatem.

Istotnie niebawem pokazało się, że Japończycy używają prochu, którego wynalazcą jest profesor doktor Shimose, młody japończyk zawodowy chemik o rozległej wiedzy fachowej.

Shimose do walki z Rosyą, na jaką Japonia gotowała się od dłuższego czasu, zapragnął się także przyczynić, choćby drobną cegiełką i jako taką cegiełkę ofiarował swój wynalazek, którego główna wartość polega na wielkiej sile wybuchowej i taniości materyałów, używanych przy fabrykacyi.



Z wojny ros.-jap.: Profesor dr. Shimose wynalazca prochu, używanego przez Japończyków.

Szczegóły wynalazku Japończycy osłaniają wielką tajemnicą, nie mniej jednak znawcy zdołali stwierdzić, że proch Shimosego ową niezwykłą siłę zawdzięcza bawełnie szczelniczej, która zmieszana z innymi niewykrytymi jeszcze składnikami jest główną substancyą tego wyrobu. — Ogółem śmiało można powiedzieć, że Japończycy w wojnie którą obecnie toczą z taką zaciętością, nie tylko korzystają z wszystkich najnowszych wynalazków, ale także pracują nad najróżnorodniejszemi odkryciami, byleby tylko zapewnić sobie zwycięstwo.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Torpeda zdążająca pod wodą do celu.



Adolf Walewski.

Migawki teatralne.

A to kto? Trzydziestoletni jubilat?... Ej — chyba nie!... Młodzieniaszek o żywych giestach, i chłopięcej twarzy — weteran sceny lwowskiej, emeryt fundacyi skarbkowskiej, człowiek niespożytych zasług, długoletni reżyser obu teatrów stołecznych — Adolf Walewski.

Pamiętam go — w roku 1870 wstąpił do szkoły dramatycznej we Lwowie; do szkoły dramatycznej, nie tej dzisiejszej tu i ówdzie tak nazywanej szkoły deklamacyi — nie! ale do szkoły, w której dramaturgii praktycznej i teoretycznej udzielał Karol Królikowski, historyi powszechnej i polskiej Ludwik Dziedzicki, estetykę i psychologię wykładał Władysław Zawadzki, języka polskiego uczył Aureli Urbański, francuskiego Czarnomski, śpiewu Kozłowski i t. d. — słowem do szkoły, z której wychodzili artyści mniej lub więcej wyposażeni warunkami od natury, ale artyści inteligentni, poważnie traktujący sztukę...

Takim też wyszedł z niej i Walewski, i z tym zapałem, z tym jakimś niewyczerpanym zasobem sił i woli do pracy jak przed trzydziestu laty, można go było widzieć całe jego życie: albo od rana do nocy na scenie, na próbach, albo przy biurku piszącego komedye, scenaryusze, przeróbki, przekłady i Bóg tam nie wie co jeszcze!...

Praca odmładza go widocznie. Dobrze trzeba się przypatrzeć, żeby spostrzedz u tego młodzika, który nawiasem mówiąc ma już synów na stanowiskach, żeby spostrzedz na jego twarzy owych wiele mówiących kilka zmarszczek, wyrytych w znamię pięciu krzyżyków...

Krakowianin rodem, za długo jednak, bo blisko trzydzieści lat pracując we Lwowie, przywiązał się do tej kotliny pod „Wysokim zamkiem“... ale — u nas aktor, dopóki teatry będą w rękach przedsiębiorców prywatnych, będzie zawsze prywatnym oficyalistą, któremu wolno tylko myśleć, mówić i działać według upodobania dyrektora lub... dyrektorowej, choćby chodziło o kwestyę, co lepsze: pieczeń czy legumina? Pan każe — sługa musi!

Raz się Walewski powodował zbytnio przywiązaniem... raz nie umilkł wbrew ukazu... raz zanadto otwarcie wypowiedział się z myślami — i „pan“ usunął nie dość uniżonego niewolnika!...

Kraków w tej chwili wziął go do siebie i nie żałuje tego. Pod jego umiejętną ręką chwiejna, malutka łupinka żegluje przecie po niespokojnem morzu...

Dajcie mu tylko silny, duży okręt o całych masztach i nie dziurawym dnie — a zobaczycie!...

Pablo.

* * *

Jeden z najzdolniejszych pracowników sceny polskiej Władysław Roman, chociaż stosunkowo nie tak dawno, jak zaciągnął się po sztandar Muzy — zdołał jednak zająć jedno z najwybitniejszych stanowisk. Nazwisko Romana zapisało się złotemi zgłoskami w kronikach teatru polskiego obok „starych uznanych firm“ Rapackich, Leszczyńskich, Żelazowskich, Solskich...

Niktby nie przypuścił, że zdolny i głośny dzisiaj artysta — upodobał sobie pierwotnie nie scenę, lecz klasztor, i przygotowując się do stanu duchownego, uczęszczał w r. 1888 na wydział teologiczny.

W młodym kleryku zbudził się nagle artysta. — Zamiast kapłanem rytualnym — został kapłanem sztuki. Społeczeństwo zyskało tylko na tej zamianie. Dobrych księży nie brak nam dzięki Bogu — dobrych artystów — niestety mamy mało!

Wprost zatem z klasztornych murów wykonał Roman dokładny skok na deski sceniczne. Pierwszym etapem w jego artystycznej wędrówce była trupa ś. p. Anastazego Trapszy, jedna z najlepszych towarzystw dramatycznych w Królestwie, a zarazem jedna z najlepszych praktycznych szkół dramatycznych w naszych czasach.

W tym samym roku, w którym z księdza przedzierżgnął się w aktora — w r. 1888 grywał już wybitniejsze role w letnim teatrzyku „Albambrze“ w Warszawie. W r. 1890 widzimy go w Łodzi, gdzie przeważnie pracuje w operetce. W r. 1894 sprowadził dyrektor Pawlikowski na letni sezon łódzką operetkę do Krakowa. Razem z nią zjechał także i Roman do grodu podwawelskiego.

Zdolności młodego artysty zwróciły nań uwagę wytrawnego znawcy, jakim jest Pawlikowski. Zaangażował go więc na sezon zimowy do Krakowa, gdzie dopiero wspaniały ten talent doszedł do zupełnego rozkwitu. Roman zyskał uznanie dyrekcyi i sympatyę publiczności i w krótkim czasie stał się jej ulubieńcem.

Smutne stosunki zapanowały w teatrze krakowskim po ustąpieniu p. Pawlikowskiego; kierunek artystyczny objął człowiek nieodpowiedni, bez zdolności, bez zamiłowania, uważający teatr nie za przybytek sztuki, lecz raczej za targowisko...

Stosunki takie zniechęciły wybitniejszych artystów krakowskich. Część ich wyjechała do Warszawy, część ich powróciła do ukochanego swego mistrza i dyrektora Pawlikowskiego, który następnie objął dyrekcyę teatru lwowskiego.

Do owych emigrantów należał i Roman. Przybył do Lwowa jako jeden z wybitniejszych artystów, a w grodzie Lwa wyrobił się na jednego z pierwszorzędnych.

Władysław Roman pracuje w dziale ról charakterystycznych i komicznych. Jest wybornym wykonawcą kreacyi klasycznego repertuaru, zwłaszcza szekspirowskiego.

W pełni sił życia i rozwijającego się z dniem każdym świetnego talentu — długo jeszcze będzie podporą i chlubą polskiej sceny.

Amaris.

Z TYGODNIA

Epoka strejków i defraudacyi. — Strejk medyków. — Policyant defraudant. — Nadobne defraudantki. — Teatr żydowski a teatr miejski. — Aleksander Bandrowski.

Żyjem obecnie w ciekawej epoce,
Lub może w jakimś epoki przełomie,
W której się ludzkość bezsilna szamoce
I brnie wciąż dalej w różnych głupstw ogromie,
Signum temporis: kultura wysoka,
Lub: defraudacyi i strejków epoka.

Strejkują wszyscy: i wielcy i mali,
Strejkują głównie różni rzemieślnicy,
Nareszcie także dziś zastrejkowali
Nasi krakowscy panowie medycy.
Z faktu się tego wrażenie odniosło,
Że fach lekarski to także rzemiosło.

Z strejku takiego dobry będzie wynik,
Może rząd przejrzy i spostrzeże luki
I zwiększą ilość szpitali i klinik,
Czego żądają w imieniu nauki.
Kwestya ta wszystkich nas dotyczy z bliska,
Bo przy nauce biedna ludność zyska.



Władysław Roman.

Dobre przysłowie: trafił frant na franta,
Fakt nie bez pewnej dość komicznej grozy,
Oto policyant zabrał policyanta,
Dosłownie: zabrał i wsadził do kozy.
Za to, że cudze pozastawiał fanty,
Siedzi za kratką — ma widok na Planty!

Słowem, że temat wprost do operetki,
A operetkę tą jeszcze okraszę:
Dziś sławie mężczyzn zazdroszczą kobietki,
Wszędzie się pchają w stanowiska nasze,
I w feminizmu żarliwym zapale,
Już obok mężczyzn siedzą w kryminale.

A więc kryminał to już nie monopol,
Zdradnej płci męskiej, ani jej przywilej,
Dał nam dowody tego gród Tarnopol,
Że w kozie damom przyjemniej i milej,
Niźli przy biurku (tego nie przeoczcie),
I z przeproszeniem jeszcze gdzie? Na poczcie!

Były wesołe dwie ekspedyentki:
Panna Eugenia — panna Wilhelmina,
A że do zabaw nie brakło im chętki,
No i przystojna każda z nich dziewczyna,
Mając wydatków rozmaitych masę,
Nieraz wsadzały swoje rączki w kasę.

Cisza podobno na Dalekim Wschodzie
Cisza, co nowe krwi rozlanie wróży,
Natomiast w cichym dotychczas narodzie,
Budzą się głosy, jak zwiastuny burzy,
Słychać te głosy z Warszawy i Wilna,
Wobec nich nawet carska dłoń bezsilna.

Nam Galicyanom trochę w inny sposób
Krwi upuszczają — system bardzo gładki,
Według opinii dotyczących osób,
Krew wysysają rządowe podatki.
Dlatego tylu cierpi na anemię,
Co zamieszkują galicyjską ziemię!

Krk.

Kącik humorystyczny.

W buduarze.

Pani: No cóż Antosiu, czy wyszukałaś mi już te szpilki do włosów?

Pokojówka: W tej chwili, proszę pani — szpilki już mam, ale jak na złość włosy się znów gdzieś zarzuciły!...

Pytanie i odpowiedź.

— Co to znaczy być punktualnym?
— Nie przychodzić zawcześnie!

Aleksander Bandrowski.

„Bez entuzyazmu nie można stworzyć w sztuce nic prawdziwego“ — powiedział niegdyś Robert Schumann, który życiem stwierdził doniosłość tych słów, będących zawsze i wszędzie hasłem i treścią życia artystycznego, jego porywów, jego wyrazu i jego dążeń. — Entuzyazm bowiem, ów zapał święty, podtrzymuje pracującego nad wydoskonaleniem się w sztuce swej adepta — wskazuje drogę i sposoby — a przedewszystkiem podnieca go w żmudnej pracy nad sobą, w pokonywaniu piętrzących się trudności i przeszkód.

Historya sztuki podaje olbrzymi szereg entuzyastów, którzy wśród trudów i znojów, dosięgali wyżyn niebotycznych. Dziś w dobie stypendyów i zasiłków na cele artystyczne — entuzyazm który każe walczyć ze sobą z otoczeniem i ze stosunkami — a przedewszystkiem z niedostatkiem – jest wśród adeptów sztuki, szczególniej śpiewaczej — objawem czem raz rzadszym.

Jednym z tych wielu wezwanych a mało wybranych — entuzyasta nad entuzyasty, jest Aleksander Bandrowski, znakomity i podziwiany jako śpiewak — a uznany jako artysta wielki — przez obcych i swoich.

Posłuszny woli rodziców, Bandrowski (urodzony 1860 r. w Lubaczowie) po ukończeniu gimnazyum — rozpoczął na Uniwersytecie Jagiellońskim studya prawnicze. Rychło jednak, ulegając namowom przyjaciół, wstępuje do... operetki. — Długo lekkiej muzie jednak nie służy. Już w r. 1882 udaje się do Medyolanu i tu oddaje się poważnym studyom wokalnym u maestra Sangiovaniego. Po roku pracy powraca na scenę. — Lecz natura głosu, czyniąca go podatnym do partyi bohaterskich w szerokim stylu, pozwoliła Bandrowskiemu zoryentować się co do drogi, jaką pójść powinna jego karyera śpiewacza. Zrozumiał, że otwiera się przed nim sukces wagnerowski, stawiający kandydatom warunki głosu, postawy i indywidualności, jakich zespolenie poczuł w sobie artysta.

Jakoż udaje się do Wiednia i tu u maestra Luigi Salvi studyuje przez półtora roku naukę śpiewu. — W r. 1886 rozpoczyna Bandrowski swą właściwą karyerę artystyczną od występów w Lincu, po których idą świetny debiut w teatrze berlińskim Krolla, całoroczna gościna w Kolonii i dwuletnia w Gracu, gdzie staje się ulubieńcem i benjaminkiem wysoce muzykalnej na poły z włochów, na poły z niemców złożonej publiczności.



Aleksander Bandrowski.

Zaproszony na szereg gościnnych występów do Frankfurtu nad Menem, zdobywa uznanie i zachwyt wybrednych słuchaczy, witany przez prasę słowami „Veni, vidi, vici!...“ Frankfurt rozwarł Bandrowskiemu na ścieżaj podwoje do sławy i wielkości. — Berlin, Wiedeń, Monachium, Drezno, Lipsk, Hannower, Wrocław, Stuttgart, Strassburg i t. d. — goszczą wielkiego artystę — witając go z zapałem. — Bandrowski zdobywa sobie podwójną sławę śpiewaczą — sławę śpiewaka operowego, niezrównanego wykonawcy bohaterskich postaci wagnerowskich — i sławę śpiewaka estradowego i oratoryjnego.

Lecz nie tylko Niemcy zasypują znakomitego artystę wawrzynem. — Wezwany do Londynu śpiewa Bandrowski w słynnej Albert Hall w obecności królowej Wiktoryi i dzisiejszego króla Anglii, Edwarda w oratoryach Rosiniego „Stabat mater“ i Gounoda „Mors et vita“. — Sława zdobyta w ten zaszczytny sposób, odbiła się głośnem echem w całej Europie. Na gorące prośby Edgara Tinela, kreuje w słynnem jego oratoryum „Św. Franciszek z Assyżu“, tytułową partyę, otrzymując wobec rozentuzyazmowanej publiczności, wieniec laurowy z rąk wzruszonego kompozytora. – W lipskim „Gewandhauzie“, śpiewa Bandrowski „Fausta“ w dziele Berlioza „La damnation de Faust“ i zdobywa sobie odrazu publiczność, jak wiadomo najmuzykalniejszą i najbardziej wymagającą.

Na scenie frankfurckiej pracując szereg lat, otoczony sympatyą i uznaniem – wzbudza każdą nową kreacyą szczery zapał w publiczności, z którą zacieśnił węzły sympatyi do tego stopnia, iż dziś jeszcze, mimo usunięcia się jego, żyje w jej pamięci i miłych wspomnieniach.

Rok 1901 daje Bandrowskiego scenie lwowskiej, dokąd przybywa na zaproszenie dyrektora Pawlikowskiego do kreowania „Manru“ Paderewskiego. Postać tę kreuje następnie w Krakowie i Warszawie. – Zaangażowany przez słynnego impresarya chicagowskiego Graua — śpiewa Bandrowski w Nowym Yorku, Chicago, Bostonie, Filadelfii, Baltimore i innych miastach Ameryki, święcąc niebywałe tryumfy, jako niedościgniony przedstawiciel „Manru“ i postaci Wagnerowskich. Przed dwoma laty zdobywa jako śpiewak koncertowy całą Rosyę.

Zdawaćby się mogło, iż objechawszy świat cały – zdobywszy najwyższe uznanie we wszystkich formach, jest Bandrowski tylko gościem wśród nas. Nie. — On żyje na ojczystej ziemi, wśród nas ma ognisko domowe — do którego znosi nie tylko laury, lecz co ważniejsza i spolia zdobyczne – tu ich w spokoju zażywając.

Oprócz laurów śpiewackich zdobi skroń znakomitego artysty i laur poetycki: Bandrowski przyswoił językowi ojczystemu wszystkie dzieła operowe Wagnera i wydał je własnym nakładem — stwarzając tem trwały i widomy dowód najlepszych dla Ojczyzny chęci – i entuzyazmu dla sztuki.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył

KAZIMIERZ E.

9 (Ciąg dalszy)

I na tem urwała się nasza rozmowa, a raczej dokładnie mówiąc, Franciszek na punkcie tematu, o jakim rozprawialiśmy, zrobił się tak bajecznie milczący, jakby słowa nie mógł ze siebie wykrztusić.

Powoli zacząłem się nudzić w jego towarzystwie i z ochotą powróciłem do mego pokoju, a względnie do mej celi więziennej, nawet z tem większą ochotą, że pan Follen ofiarował mi całą masę książek nader zajmujących.

Czytałem z ochotą, bo czytając miałem złudzenie, że studyuję, że życie dopiero otwiera się przedemną i nawet wierzyć nie chciałem wówczas, abym kiedykolwiek w życiu był włamywaczem i abym siedział już za to w więzieniu!...

VI.

. . . .

. . . .

...I znowu upłynęło parę tygodni, podczas których profesor Follen parokrotnie otwierał mi żyły i czerpał z nich dość obficie krew dla podtrzymania życia swojej córki.

Swoją drogą dzięki znakomitemu odżywianiu, a zwłaszcza dzięki staremu burgundowi, który miałem na każde zawołanie, bynajmniej nie traciłem na sile!

I owszem mógłbym nawet śmiało powiedzieć, że, jeśli nie zyskiwałem jej coraz więcej, to w każdym razie nie czułem żadnego ubytku, a przyzwyczaiłem się już tak do operacyi tego rodzaju, iż po każdej transfuzyi w parę godzin przychodziłem do siebie i nawet bladością twarzy nie zdradzałem chwilowego osłabienia.

Przyznam się nawet, że poniekąd byłem zadowolony z mego losu. Żyłem bez troski o jutro, pewny, że mam dach nad głową, że nie zaznam głodu, ani chłodu, bo doktor Follen zaopatrzył mnie nawet we wcale obfitą garderobę. Pomimo to jednak nie zachwycałem się życiem tego rodzaju i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której nieszczęliwy ojciec biednej umierającej panny Teresy zechce mnie uwolnić.

Z myślą o tem uwolnieniu zasypiałem i budziłem się. Zwolna zaczęła ona mnie prześladować i kto wie, coby się było ze mną stało, kto wie, czy nie padłbym był ofiarą manii prześladowczej, gdyby nagle sytuacya moja nie zmieniła się w sposób wprost zadziwiający, gdyby dziwnem zrządzeniem losu całe me życie prosty, głupi wypadek, czy też istotnie jakaś nadludzka siła nie pchnęła na inne tory!...

Pewnego dnia, właśnie kiedy spożywałem obiad, a względnie kiedy spożywszy go i zapaliwszy znakomite „Hawanna“ zagłębiłem się w jakiejś nader zajmującej książce, wszedł do mego pokoju profesor Follen.

Od czasu jak przebywałem w tej tajemniczej willi, po raz pierwszy mój stróż i pan raczył mnie odwiedzić w „celi“ (tak bowiem z sarkazmem nazywałem me pomieszkanko) zaraz więc domyśliłem się, że musiało zajść coś bardzo ważnego skoro sam fatygował się do mnie, zamiast jak zwykle zawezwać mnie do sali operacyjnej przez Franciszka.

Dr. Follen przywitawszy się ze mną uprzejmie, usiadł i bez żadnych ogródek wyjawił mi cel swojej wizyty.

— Pan zapewne chciałby stąd jak najprędzej się wydostać? No, a ja znów pana zatrzymywać nie mogę tem bardziej, że warunki jakie panu przedstawiłem, spełnił pan nawet powyżej miary i wysokości jaką miałem na myśli!...

Tu pan Follen urwał i spojrzał badawczo w me oczy.

— Pan byłeś włamywaczem? nieprawdaż? ale za nim poświęciłeś się tak zaszczytnemu zajęciu, spędziłeś młodość na studyach. Otóż zapytam pana czy nie miałbyś pan przypadkiem ochoty znowu stać się uczciwym człowiekiem, porządnym obywatelem?

— O! z całą chęcią! — zawołałem żywo zrywając się z krzesła — ale to nie jest tak łatwo, jak pan myśli!..

— Przedewszystkiem sama policya przeszkadza nam wejść na dobrą drogę, która z reguły, gdy skazaniec znajdzie jakieś zajęcie, uprzedza jego chlebodawcę o tem, że przyjął człowieka obciążonego plamą, a mało znajdzie się takich ludzi, coby dowiedziawszy się o takiej podejrzanej przeszłości swego podwładnego, trzymało go dalej w służbie!... Wątpię nawet, czy pan sam inaczej byś sobie postąpił i czy nie zmusiłoby cię w końcu do tego to bezustanne wizyty policyi w dzień i w nocy! Wizyty celem przekonania się, co porabia taki zajęty u pana ex-złodziej!...

— Naturalnie, że to byłoby dla mnie tak samo nieprzyjemnem jak dla kogo innego — odpowiedział pan Follen — ale te wypadki zachodzą tylko wtedy jak sądzę, skoro skazaniec jest ubogi i musi szukać kawałka chleba jako służący, lub jakiś urzędniczyna, albo pisarek. Kto jednak ma jaki taki mająteczek ten może być niezależnym i temu policya nie da się wcale we znaki.

To prawda — odrzekłem — ale z więzienia rzadko kto powraca bogaczem i dlatego zapatrywania takie są prostą utopią!...

— No tak! ale pan będziesz w tym wypadku stanowił wyjątek!... C. d. n.



Mieszkanie do najęcia.

Pan, szukający mieszkania frontowego, przebiega oczyma wszystkie kartki na bramach wywieszone; a że i nogami przebiega już ze dwie godziny po twardych kamieniach Lwowa — więc umęczony, postanawia wziąć pierwsze lepsze trzy pokoje z kuchnią, byle „na front“, bo tak sobie życzy jego pani.

Znalazł wreszcie: Kamienica ładna, ulica szeroka, kuchnia, przedpokój, wodociąg, słowem — eureka! Wchodzi tedy. Gospodarz mieszka na drugiem piętrze pod liczbą 7. Puka...

Piskliwy głos odzywa się gdzieś z głębi:

— Zaraz!

Czeka pięć minut — puka znowu.

— A tam co za gwałt? — słychać ten sam głosik przyjemny — przecież muszę się ubrać! Dopiero dziesiąta rano!

— Bardzo proszę! ja zaczekam!

Za kwandrans wychodzi jakaś podsatkowata jejmość.

— A czego to?

— Chciałem obejrzeć mieszkanie na pierwszem piętrze.

— Trzebaż to było odrazu powiedzieć: ja się stroję... myślałam, że niewiedzieć co!... Mieszkanie przecież może Kasia pokazać.

Umurdzana rusineczka o wystających policzkach i czerwonych nóżkach wysuwa się z poza pleców grubej pani.

— Proszu pana! ja pokażu.

— Bardzo proszę!... Moje uszanowanie! — zdjąłem grzecznie kapelusz i podążyłem na schody w dół za „dziewicą ukraińską“.

— Panie! panie! — ozwał się za mną sympatyczny głosik — niechno pan się wróci! Kasia! zaczekaj! Już kiedym się ubrała, to proszę pana wstąpić na chwilkę do nas. Pogadamy.

Pan wraca na górę. Wchodzi.

— Proszę siadać. Pan wybaczy... ale to dzisiaj właściciele domów muszą być ostrożni... Pan jakie ma zajęcie.?

— Jestem radcą sądowym.

— A! radca... My proszę pana, wynajmujemy tylko porządnym partyom. Pan wybaczy, jeszcze chwileczkę... Pójdę się cokolwiek upudrować, wyglądam jak kominiarz....

— Proszę pani! ja zaczekam.

Z drugiego pokoju odzywa się nagle fortepian — słychać sopran rozpaczliwie wrzeszczący:

„Dziewczę z buzią jak malina!
Twoje oczy gwiazdki dwie!...“

— To moja córka. Ładnie śpiewa — co? Pan się skrzywił boleśnie.

— A... bardzo! bardzo!...

— Uczyła się u Souvestrów.

— Widać to, widać! Ale chciałbym to mieszkanie...

Nagle nad głową jakiś głos się odzywa:

— Cicho ośle dardański!

Pan się zrywa przestraszony.

— A... to nasza papuga Kakadu... Prawda. jak ona wyraźnie mówi!?

— W istocie... ale co do mieszkania...

— Cicho ośle dardański!

— Pan pozwoli... dam jej kawałek cukru! To taki luby ptaszek! Pa! pa! ona różne rzeczy mówi. No, Żoko! powiedz: „pani jest ładna!“ No! no!

— Cicho ośle dardański!

— A ty lamparcie! to figlarka!...

Z drugiego pokoju nowe wycie:

„Miłość to cygańskie dziecię!
Ani jej nie ufaj, ani wierz!“

Pan zrywa się, jakby go osa ugryzła.

— Proszę pani, ja się spieszę...

— A... co do mieszkania! prawda! niechże pan zejdzie, tam Kasia czeka.

— Padam do nóg!

— Cicho ośle dardański!...

Pan odetchnął, — Schodzi.

— Gdzież to?

— Tutki, proszu pana.

Rusałka otwiera jakieś drzwi.

— Ale proszu pana, nasz pan ne lubyt, szoby pluć po schodach.

— Bądź spokojna... nie mam tego zwyczaju.

— Ani kurżyć dzygary.

— Ja nie palę zupełnie. — Ależ to malutkie pokoiki! Jak klateczki!

— Tera taka moda, proszu pana! Uszędzi u nowy kamynicy taki!...

— No... nie szczególna moda!

— Ale za to wygodni, szo ni czebno bahato mebli.

— A ja właśnie mam mebli dużo.

— Możno dać do pyunicy trochu.

— A piece nie dymią?

— Tylo u zimi, proszu pana.

— O! do licha!

— Ale to cza wotworzyć wokna, taj ju!

— Dziękuję!

— Furtypjany nasz pan nie pozwalajut.

— E — ja nie gywam.

— I, proszu pana, gwoździ ne wolno nowy zabijać u ściany...

— A jakże zawieszę obrazy?

— Abo na te stary ćwoki, co już je, abo ni, to dać na strych.

— A psy ani koty ne wolno trymać!

— Mam pudla... ale go sprzedam.

— Pan takoż ne lubi, szoby dużo gości chodziło do czynszowników.

— Zerwę wszystkie znajomości.

— Dzieci to tyż ne wolno!

— Mam troje to pozabijam! — A ileż to idą te trzy pokoiki?

— Sztyrdzieści dwa ryński, proszu pana na misiac.

Pan rzuca się na schody — mrucząc:

— A niech was tu wszyscy dyabli wezmą!

Głos z góry:

— A co tam Kasiu?

— Toj pan wże wcik!...

A pan pognał en cariere ku bramie... słyszał tylko jeszcze z góry głos, ale nie był pewny, czy pani czy papugi:

— Cicho ośle dardanelski!!...

Naśladował — Pablo.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Logogryf.

Z sylab: a, a, ar, bald, brah, ci, cze, cha, cya, chry, dank, dye, dry, go, hab, im, in, kie, ko, ko, ło, łoj, ma, mic, mosz, na, no, now, pian, pol, pro, pu, re, ski, tem, tra, u, wi, wicz, za, zan: ułożyć 13 wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, dadzą imię, nazwisko i tytuł powieści, niedawno zmarłego pisarza.

Znaczenie wyrazów: 1. Poeta polski XIX. wieku. 2. Najwznioślejszy ustęp III. części „Dziadów“. 3. Najpóźniejszy kwiat jesienny. 4. Herb szlachecki polski. 5. Tytuł powieści E. Orzeszkowej. 6. Roślina lecznicza. 7. Znaczna rzeka w Azyi. 8. Miasto w Turcyi europejskiej. 9. Ekonomista i historyk polski XVIII. wieku. 10. Imię męskie. 11. Dopływ Prutu. 12. Poeta polski XVI. wieku. 13. Półwysep w Azyi.

Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb wstawić litery tak, aby środkowe litery utworzonych 19 wyrazów, czytane z góry na dół, stanowiły imię i nazwisko bohaterki powieści historycznej Sienkiewicza.

						16						
					21	**4**	7					
					3	**21**	8					
				16	24	**20**	5	17				
		6	5	17	5	**6**	19	8	3	7		
	15	16	4	1	14	**5**	24	20	16	11	2	
8	1	25	12	5	13	**3**	5	13	19	25	6	1
	5	20	19	16	20	**1**	21	26	1	25	10	
		4	19	14	16	**4**	18	1	20	5		
			26	1	11	**4**	1	25	5			
					18	**21**	20					
				23	5	**26**	1	5				
					4	**1**	26					
				17	5	**25**	7	17				
					3	**10**	7					
					15	**22**	14					
			12	13	16	**26**	5	25	10			
	15	10	7	8	16	**20**	16	26	1	25	10	
3	5	9	6	5	15	**5**	3	5	13	16	26	5

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Pseudonim poety polskiego. 3. Jenerał polski. 4. Ubiór kościelny kapłana. 5. Cmentarze podziemne. 6. Zgodność w postępowaniu. 7. Niedawno zmarły pisarz współczesny. 8. Kaznodzieja jezuicki z połowy XIX. wieku. 9. Liczba, wyrażająca stosunek okręgu koła do średnicy. 10. Miasto w gubernii kieleckiej. 11. Wiatr wiejący w Szwajcaryi. 12. Miasto we Włoszech. 13. Osada w gub. siedleckiej. 14. Dziejopisarz rzymski. 15. Kwiaty. 16. Pierwiastek chemiczny. 17. Ryba. 18. Poeta polski. 19. Utwór Sienkiewicza.

Zadanie konikowe.

tyl	pa	ro	ty	ty	kwia
nie	ty	się	że	ty	ra
sto	ko	mi	sną	ty	zło
dla	wię	ku	wio	ju	ju
pta	ni	i	ma	ty	pod
dzi	skrzy	mój	twe	sno	ty

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznacza się jako nagrodę:

Wielki król Patacake, powieść satyryczna.

Rozwiązania z Nru 7.

Rebus: Kotary nad łóżkami bardzo to zgadzająca się z estetyką ozdoba, ale nie zdrowa.

Szarada: Synekura.

Kwadrat magiczny: Sawa, amor, wola, Arad.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Prohaska, Witoszyński, Brzeziński, Ziembiński, Gaweł, Zielińska, Majewicz, Łapicki, Rylski, Walczak, Zaruski, Rodakowska, Czytelnia katolicka w Makowie, Arbesbauer, Kolbusz, Rogalski, Dembiński, ks. Zarzycki, Rozmus, Kobakówna, Gonet, Josefert, Lorsch, Noworolski, Gruszkiewicz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał ks. Zarzycki w Uściu. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

Telefon Nr. 308.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.